

ZYGMUNT BORKOWSKI

Nazywam się Zygmunt Borkowski. Urodziłem się 12 grudnia 1919 roku w Wilnie. Dzieciństwo miałem piękne, rodzice moi byli bardzo patriotyczni i w duchu patriotycznym mnie wychowali. Ojciec mój był z zawodu technolog rolny, ale nie uprawiał tego zawodu. Po I wojnie zajął się handlem. Później w okresie kryzysu musiał zlikwidować ten interes i ostatnio był naczelnikiem administracyjnym samorządowym w Wilnie. Mama prowadziła dom. Żyliśmy w dostatku, nie brakowało nam nic. Dzieciństwo było piękne i otoczeni byliśmy miłością i dbałością. Mam brata starszego o półtora roku, z którym kochamy się do dnia dzisiejszego. To jest jedyny mój brat. Na imię ma Tadeusz.

W Wilnie, w dzieciństwie mieszkaliśmy na ul. Zygmuntońskiej, w bardzo ładnej dzielnicy. Później mieszkaliśmy we własnym domu pod Wilnem w kolonii wileńskiej i tam wyjeżdżaliśmy na wakacje. Ale ze względu na chorobę mojego brata, lekarz zalecił, abyśmy przenieśli się tam na stałe. To było 6 km od Wilna. Tam mieszkaliśmy kilka lat i stamtąd dojeżdżaliśmy do gimnazjum koleją do szkoły. To było gimnazjum plastyczne im. Juliusza Słowackiego i brat też tam chodził. On był dwa lata wyżej ode mnie. W jednym gmachu były dwa gimnazja i później połączono je w jedno gimnazjum im. Adama Mickiewicza. I to gimnazjum w 1939 roku skończyłem uzyskując maturę w maju 1939 r. tuż przed wojną.

Mój ojciec miał na imię Stanisław, a matka Leonia. Ojciec pochodził z terenów Litwy, tzn. miejsce urodzenia mojego ojca to był Mariampol koło Kalwarii. To jest właściwie dawna suwalszczyzna.

Po matrze obowiązkiem było odbyć służbę junackich mistrzów pracy, którą odbywałem już od 15 sierpnia do 8 września nad granicą pruską pod Augustowem. Tam 8 września zostaliśmy wycofani do Grodna, później wycofali nas do Lidy i z Lidy ostatnim pociągiem przed bolszewikami pojechaliśmy do Wilna. Później zaczęła się już okupacja.

W czasie okupacji w Wilnie było bardzo wesoło, bo co parę lat, a nawet co kilka miesięcy zmieniała się władza. Bolszewicy do Wilna przyszli 18 września wieczorem, a wyszli 28 października oddając teren Litwie, tej nacjonalistycznej tzw. smetodowskiej Litwie. 15 czerwca 1940 r. znowu wkroczyły wojska sowieckie, zajęły tereny całej Litwy, Łotwy i Estoni i stworzyli trzy republiki radzieckie.

W tym czasie staraliśmy się pomóc rodzicom utrzymać dom, ponieważ ojciec już nie pracował. Ja osobiście robiłem gilzy do papierosów. To się ręcznie robiło, bo na gilzy w państwie litewskim był monopol. I gilzy bardzo drogo kosztowały. Natomiast ręczne robienie gilz było nieprawne, ale ja osiem pudełek gilz po 250 szt mogłem zrobić i to się sprzedawało po licie a wartość lita była w stosunku do złotego przedwojennego, to było 1 lit = 96 groszy polskie. To była dobra, mocna waluta. Biedy nie zazналиśmy, bo właściwie wszyscy ludzie sprzedawali swoje dobra, które zgromadzili przed wojną, czy w okresie międzywojennym: jakieś dywany, obrazy z widokami Wilna i to Litwini kupowali i były dobre ceny i z tego się żyło. Naturalnie, że ci, którzy nie mieli co sprzedać, żyli w nędzy. Ale my staraliśmy się jakoś zaradzić temu. Mój brat, zresztą bardzo zdolny, znał języki po prostu uczył, dawał lekcje i też zarabiał. I tak to było do chwili włączenia litwy do Związku Radzieckiego. Wtedy była inna sytuacja i trzeba było się wzięć ca pracą fizyczną. Pracowaliśmy z bratem na robotach, które władza sowiecka organizowała dla ludzi, żeby dać im zatrudnienie. Jakiś czas pracowaliśmy przy przebudowie takiego wielkiego placu rozdzielczego kolejowego pod Kownem. To się nazywało Paniemunie. A od jesieni pracowaliśmy przy budowie autostrady Wilno-Kowno. Pracowaliśmy na najcięższym odcinku, ale najlepiej płatnych, tzn. pracowaliśmy na torfowiskach i wybieraliśmy torf do twardego gruntu. Trzeba było wybrać torf do twardego gruntu. Zarabialiśmy tam dobrze nawet 32-35 litów dziennie. Za to można było kupić 7-8 kg słoniny lub 5 indyków. Ale robota była bardzo ciężka, bo trzeba było w butach gumowych stać w wodzie, listopad, grudzień to już mróz, lodem były pokryte wszystkie zalewy. Potem jak już mróz wszystko skuł, nie można było tam pracować, pracowaliśmy jakiś czas na kolei oczyszczając tory ze śniegu. To nie była ciężka praca, no ale cały dzień na powietrzu. No i tak doczekaliśmy 1941r. Acha, jeszcze na wiosnę pracowałem przez pewien czas wybierałem z takiej rzeki Wilenki kamienie. Była bardzo kamienista rzeka i trzeba było te kamienie wybierać, układać w takie metry i to gdzieś wywożono na budowę fortyfikacji. To był 1941 r. wiosna.

Doczekaliśmy się słynnej wywózki, która nastąpiła 13,14,15 czerwca 1941 r. Wtenczas z Wilna jednego dnia wywieźli przeszło 30 tys. ludzi. Wówczas Swiecinaszę mieszkanie w Wilnie nam zabrali i mieszkaliśmy w tym naszym domu letniskowym. Ta okolica była jakaś szczęśliwa, dlatego że stamtąd wywieźli tylko jedną rodzinę i to taką rodzinę, która przywędrowała tam spoza Wilna. To był naczelnik izby skarbowej nazywali się państwo Betkowszc. I w tym rzucie tylko tę jedną rodzinę zabrali. Ale siedzieliśmy spakowani wszyscy w takie węzły, podzielone mieliśmy garnki i inne rzeczy gospodarstwa domowego tak, że jakby nas rozdzielili, to każdy miał cokolwiek do rozpoczęcia nowego życia.

22 czerwca 1941 r. to była niedziela, byliśmy w kościele i jeden pan przekazał wiadomość po cichu, na ucho, że jest wojna rosyjsko-niemiecka. Wiadomość ta od ucha do ucha obleciała wszystkich. W tych dramatycznych

warunkach, kiedy człowiek cały tydzień siedział w napięciu, że w każdej chwili mogą wywieźć, to nastąpiła pewna ulga, że już nas nie wywożą. Wszyscy wiedzieli jak się żyje w Sowietach jaka tam jest nędza.

Wiedzieliśmy jacy są Niemcy, ale w 1941 r. jeszcze nie rozwinęli swoich możliwości niszczycielskich. Weszła ta armia niemiecka, doskonale zorganizowana, zdyscyplinowana, nie było żadnych rabunków, właściwie oni przemieszczali się głównymi drogami, głównymi szlakami. Nie spotykało się wówczas Niemców w jakiejś wiosce, czy zaścianku. Szczęśliwie było tak, że wojna zaczęła się 22 czerwca, a już przed północą 23/24 Niemcy byli w Wilnie. Więc to było błyskawiczne wejście Niemców do Wilna. Mało tego, nawet Rosjanie, chociaż mieli cały dzień nie zdążyli wszystkich więźniów wywieźć. Na dworcu zostały dwa pociągi załadowane więźniami, którzy zostali przez kolejarzy wypuszczeni i uwolnieni.

Przyszła okupacja niemiecka. Pierwsze miesiące okupacji, byliśmy młodzi, spędzaliśmy czas wśród młodzieży, nie było jeszcze mowy w tamtych warunkach i na tamtych terenach o konspiracji, bawiliśmy się i cieszyliśmy się, że nie jesteśmy wywiezieni. Ale reżim hitlerowski też zaczął pokazywać swoje pazury i zaczął tam dobierać się do skóry. Zaczęła się zawiązywać konspiracja ZWZ, nawiązane zostały stosunki z Generalną Gubernią, z Warszawą. Warszawa już przysyłała swoich emisariuszy, chociaż konspiracja trwała od 1939 r., ale w minimalnym zakresie. A teraz zaczęła się kształtować już wyraźnie kierunek ZWZ, a później AK.

Niemcy zaczęli rozpisywać pobory do najrozmaitszych służb pomocniczych. Pobory do wywózki do Niemiec, a także do pomocy armii niemieckiej. To się odbywało tak, że łapali młodych ludzi, których roczniki podlegały rejeestracji, dawali parę koni i na front w głąbi Rosji do pomocy armii niemieckiej. Chcąc uniknąć tej wywózki zatrudniłem się tak się nazywało to przedsiębiorstwo, to był zarząd majątków prywatnych upaństwowionych. Majątków na terenie całej wileńszczyzny. To takie przedsiębiorstwo, które chciało zachować te większe majątki do rozdziału zasłużonym Niemcom. To był 1942 r. W tym majątku pracowałem jako z-ca kierownika gospodarstwa i byłem jednocześnie kierownikiem takiego małego gospodarczego młyna. Tam pracowałem rok czasu. Te wszystkie majątki były zarządzane przez pana Komara, ojca obecnego sportowca Władysława Komara.

To była rodzina i bardzo ceniona na wileńszczyźnie i na Litwie. Babka, nie powiem teraz czy stryjeczna, czy rodzona babka była właścicielką takiego pięknego majątku Szumsk. I ten Komar w 1944 r. został zabity przez Litwinów.

Tam pracowałem rok czasu, to pięknie położony majątek był Dubniki, własność pani Minejkowej. Ja ją osobiście znałem. A pan Minejko mąż tej pani został w 1920 roku rozstrzelany przez Bolszewików jako burżuj. Administratorem tego majątku był pan Romuald Drozdowicz, inżynier rolnik, który to rolnictwo kończył w Poznaniu, a pochodził sam z Syberii z rodziny zesłańców polskich. Tam ciągnęło mnie do innej pracy. Wiedziałem już, że jest konspiracja, zresztą tam już było dość niebezpiecznie, bo młodych ludzi podejrzewano o udział w konspiracji i bałem się, że mogą się do mnie przyczepić i postanowiłem wrócić do tej kolonii wileńskiej i tam jakiś czas pracowałem w szpitalu. Ta kolonia leżała między miastem Wilnem a takim miasteczkiem Nowa Wilejka. Odległość między Wilnem a Nową Wilejką była 10 km, a między tym leżała ta kolonia wileńska, ta szczęśliwa miejscowość, która nie zaznała większych strat. I z tej miejscowości rowerem albo piechotą dojeżdżałem do tego nazaretu jako pielęgniarz.

Tam w tym szpitalu leżeli nie ranni, nie Niemcy, tylko wszystkie te narodowości, które Niemcy zaangażowali do służby wojskowej, tzn. rola rosyjska, jakieś tam oddziały kałmudzkie, tatarskie, które Niemcy potworzyli z jeńców sowieckich. Oni byli używani do likwidowania oddziałów partyzanckich na terenie dawnej Rosji. Te oddziały siedziały w olbrzymich lasach i zabezpieczały się minami. Większość tych rannych to ci, którzy natknęli się na te miny. Mieli urwane nogi, ręce to był straszny widok. Młodzi ludzie bez rąk, nóg - to był straszny widok. Obowiązkiem pielęgniarzy to było noszenie tych rannych na opatrunki i to trwało 10-12 godzin. Tak że praca była bardzo ciężka.

Brat pracował gdzie indziej, najpierw w takim tartaku, potem w zarządzie leśnym. Znał dobrze język niemiecki, francuski, angielski, litewski, rosyjski. Poliglota, więc potrzebowali takiego człowieka i go tam zatrudniali. Nie chodziło o to żeby zarobić, bo Niemcy nie płacili, tylko żeby mieć zaczepienie, żeby nie być wywiezionym do Niemiec lub na front do oddziałów pomocniczych.

W tym szpitalu administracja była niemiecka, natomiast personel był polski: sanitariuszki, siostry szpitalne, lekarze wszyscy byli Polakami. O tyle tam było korzystnie, że tam dawali jeść. Pracownik tego lazaretu mógł zjeść rano śniadanie, obiad i kolację. Ci, którzy mieszkali gdzieś dalej to mieli tam taki pensjonat, i mogli tam zostać. Po pewnym czasie miałem trudności, żeby tam dojechać, bo latem to półbieda, a zimą, jak spadły śniegi nie mogłem rowerem dojeżdżać, a kolej nie zawsze tam dojeżdżała. Później zajmowałem się takimi pracami dorywczymi jako pracownik fizyczny: piłowanie drzewa, jakiś czas także zajmowałem się introligatorstwem, brałem książki do oprawy.

Od końca czerwca 1943 roku należałem już do AK. Mój kolega szkolny, z jednej klasy Henryk Wołoczko miał krewnych w Kolonii Wileńskiej i przyjeżdżał na sobotę niedzielę na wypoczynek. Spotykaliśmy się. I on dostał polecenie od władz wuższych zorganizować taką komórkę na terenie Kolonii Wileńskiej. Zorganizował taką

komórkę, do której został wciągnięty mój kolega i brata, jeszcze ze studów i zabaw towarzyskich niejaki Henryk Popławski. I on mnie spotkał kiedyś i zapytał czy gdzieś należę, ja mu powiedziałem że nie i on mnie wciągnął. Skontaktował mnie z tym moim kolegą Henrykiem Wołocką i ten mnie zaprzysiął w lasku. To było bardzo wzruszające, bo to przysięga na wierność Ojczyźnie, ofiara życia i to zostaje w pamięci. To było koniec czerwca 1943 r. Dostałem pseudonim "Zyga". To trochę głupio było, bo ja mam na imię Zygmunt to bardzo łatwo się domysleć, no ale to był początek konspiracji i nie mieliśmy żadnego doświadczenia. Ten kolega Wołocko polecił mi stworzyć swój oddział, odbrać sobie jeszcze 9 ludzi, trzy trójki, bo to system trójkowy był. Miałem tworzyć tzw. pluton konspiracyjny. I na razie miałem szkolić tych ludzi. Poza tym w gimnazjum było obowiązkowe ćwiczenie tzw. przysposobienie wojskowe, więc już byłem obznajomiony w pierwszych naukach wojskowych, tzn. znałem topografię, wiedziałem jak oobchodzić się z bronią, zresztą z bronią od dziecka miałem do czynienia bo mój ojciec polował i od dziecka zabierał mnie na polowania. Na razie broni nie mieliśmy. Zorganizowałem te trzy trójki Kolonia Wileńska dzieliła się na Górną i Dolną. Tam wszyscy się znali, a szczególnie młodzież i młodzież ze sobą była zżyta. Zresztą Wilno to jest taka miejscowość, gdzie nie było różnic narodowościowych. W klasie byli i Żydzi, Tatarzy, Karaini, machometanie i protestanci jeżeli chodzi o rozróżnienie religijne. A narodowościowe to Polacy, Żydzi, Rosjanie i Niemcy. My nie mieliśmy nacjonalistycznych ciągót. Wszyscy żyliśmy w zgodzie. Tak samo w tej Kolonii Wileńskiej były najrozmaitsze rodziny - prawosławne, polskie, starowierów - ale młodzież żyła wspólnym życiem. Razem graliśmy w piłkę, razem chodziliśmy na plażę, razem jeździliśmy na nartach. Nie było żadnych rozgraniczeń narodowościowych.

Zorganizowanie tej grupy konspiracyjnej nie sprawiało żadnych trudności, bo wszyscy się znaliśmy, było wiadomo na kim można polegać.

Dzisiaj, z perspektywy tych lat, ja się zastanawiałem dlaczego to nie zostało zdekonspirowane, bo przecież trudno prowadzić konspirację jak wszyscy się znają i wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Ale jak już powiedziałem ta miejscowość była szczęśliwa, bo stamtąd wywieziono tylko jedną rodzinę i przez ten czas było tylko jedno aresztowanie i to za donosem jednego z Polaków, który poszedł na współpracę z Gestapo. On wskazał i sam brał udział w próbie aresztowania takiego pana kapitana Bolesława Wasilewskiego, pseudonim "Bustro-niak". Pan Bolesław zorientował się już jak podchodził do domu, bo widział przed domem na śniegu ślady butów podbitych gwoździami i przez okno zobaczył swojego brata związanego, leżącego na podłodze i wiedział, że jest tam kocioł i uniknął aresztowania. Później wyciągnięto tego brata i razem służyli w Armii Krajowej.

Z Kolonii Wileńskiej prawie wszystkie oddziały partyzanckie wychodziły w teren, tzn. tam był taki punkt zborny. To była miejscowość górzysta, pokryta laskami, doskonale zamaskowana. Właściwie nikt z administracji nie zajmował się tą miejscowością. Był tam posterunek milicji, dwóch milicjantów, którzy starali się żyć w zgodzie z miejscową ludnością. To byli Litwini.

Utrzymując kontakty konspiracyjne doczekaliśmy wiosny 1944 roku. Wtedy zaczęły oddziały partyzanckie polskie wychodzić w teren, coraz więcej było tych oddziałów i zapowiedzieli nam, że będziemy tworzyli oddział pod nazwą "Lotna Brygada" Bo oddział partyzancki w odróżnieniu od okręgu nowogrodzkiego, gdzie tam jednostką był batalion, to na terenie wileńszczyzny były oddziały, które miały taką umowną nazwę "Brygada". Brygada I wileńska - Juranda, Szczerbca, brygada 8 Konara, brygada 7 Wilhelma itd. Naszym dowódcą (był taki okres czasu, że ci dowódcy nasi, którzy mieli opiekę nad nami zmieniali się dosyć często. Przyszli, trochę nas poznali i odchodzili dalej) był dowódca, który miał pseudonim Ryszard. A takim bezpośrednim opiekunem, który mieszkał w Kolonii Wileńskiej był Waław Gruszko, pseudonim Waław i on był naszym szkoleniowcem, doszkałał nas.

Teraz zdobywanie broni. Wyglądało to tak, że albo kupowało się broń od Litwinów, którzy potrzebowali pieniądze. Kupowaliśmy pistolety, żeby w ogóle jakąkolwiek broń mieć. Te sprawy załatwiał Ryszard i Waław. My dostawaliśmy tylko polecenie przewiezienia tej broni z miasta do Wilenki i tam przechowywaliśmy ją gdzie kto mógł. Poza tym, jeżeli dowiedzieliśmy się, że ktoś ma jakiś karabin, zdobył, w okresie odstępowania wojsk polskich w 1939 r. może ktoś zostawił broń, (w roku 1941, jak uciekali Bolszewicy z Wilna bardzo dużo broni porzucali w koszarach i mieszkańcy powyciągali tę broń i mieli) więc albo się od nich kupowało, albo oni dawali nam tę broń.

Na początku czerwca 1944 r. pierwszy nasz pluton wyszedł w teren w okolice miejscowości Soły i tam miał przygotować bazę do naszego wyjścia w teren. Tam była też gromadzona broń. Jakiś oddział zorganizowany miał połączyć się z nami, ale oni byli po drugiej stronie Wilna i my mieliśmy przeprowadzić ich przez całe miasto. Oni byli dobrze uzbrojeni, z taborami, to był duży oddział liczący około 50 ludzi. Ale wypadki potoczyły się szybko i ten oddział nie połączył się z nami, dlatego że nastąpiła operacja "Ostra brama" i zostały przerwane wszystkie kontakty. Następnego dnia po operacji generał-pułkownik Krzyżanowski - Wilkwydał rozkaz koncentracji wszystkich oddziałów w Wołkorawiskach. Nasz oddział jeszcze nie zorganizowany też tam wyruszył. Rozmowy płk. Wilka z władzami rosyjskimi, a właściwie z dowództwem frontu białoruskiego, gen. Czernichowskim, w pierwszej fazie były bardzo optymistyczne. Rosjanie dali pozwolenie na odtworzenie 19 Dywizji Piechoty plus wszystkie te bronie towarzyszące. My czekaliśmy w Wołkorowiczkach, (byliśmy wcieleni do oddziału zapasowego) Okazało się, że te rozmowy to był kamuflarz, bo nie Czernichowski rozmawiał z płk Krzyżanowskim - Wilkiem, tylko słynny Sierrow. Najpierw obiecał, a potem aresztował wszystkich. No i w tym dniu 17 lipca, żeby nie dać się

otoczyć i rozbroić całą ta koncentracja ok. 7 tys. ludzi, z taborami i bronią to wszystko ruszyło do Puszczy Rudnickiej. Rosjanie pozwolili wejść do Puszczy, następnie otoczyli czołgami Puszcę. A po aresztowaniu całego dowództwa, dowódcą oddziału, czy raczej tego zgrupowania był płk Blumski. On wieczorem 18 lipca wydał rozkaz rozwiązania tych oddziałów i poszliśmy do domu. Staraliśmy się uniknąć aewszutowania. Ale niestety nie uniknęliśmy, bo Rosjanie, jak już wspomniałem Niemcy przemieszczali się głównymi drogami, to Rosjanie rozlazili się jak wszy. I wychodząc z tej Puszczy, a znaliśmy Puszcę dobrze, zostaliśmy złapani przez Rosjan.

Przed wyjściem na koncentrację zdobyliśmy w fabryce obuwia w Wilnie 100 par butów takich długich. No i te nowe buty włożyłem bardzo nieroztropnie, że otarłem sobie piętę tak, że zrobił się krwiak i zakażenie. Szedłem bez buta, nogę miałem owiniętą szmata mi i tak szedłem z taką krwawą pręgą aż po pachwinę.

Rosjanie zaprowadzili nas do takiej wielkiej stodoły w miejscowości GudeLki. Następnego dnia uformowano taką kolumnę i pędzono nas w jakieś nieznane miejsce. Później okazało się, że pędzili nas do obozu w Miednikach. W międzyczasie była przerwa w miejscowości Jaszdach przy szkole. Szkoła była ogrodzona płotem i tam nas wszystkich wpędzili, a było nas ok. kilka tysięcy AK-owców. I tam podjąłem postanowienie, że dalej nie pójdę. Do tego płotu podchodziła ludność cywilna i z tymi więźniami rozmawiali, a płot był wysokości takiej nie więcej jak metr. Podszedłem do tego płotu i jak strażnik odwrócił się przekroczyłem ten płot i stałem już po drugiej stronie. Wywołałem brata, który był bardzo załamany, ale też przekroczył ten płot i przyszedliśmy do naszego domu. Część naszego domu była zajęta przez lotników sowieckich, ale nie mieli do nas pretensji. To była już jesień 1944 r.

Siedzieliśmy w domu, trzeba było gdzieś pracować więc zatrudnił mnie za protekcją mojego przyszłego teścia, który został powołany jako główny inżynier w treście budowlanym do odbudowy Wilna. Mój teść był architektem, przed wojną pracował w zarządzie miejskim, był naczelnikiem inspekcji budowlanej, a w czasie wojny pracował też w treście budowlanym (przedsiębiorstwie budowlanym niemieckim, gdzie budowali domy na potrzeby niemieckie). Na te budowy także byli przysyłani Żydzi z Getta. Teść przechowywał na budowie przez parę miesięcy grupę Żydów (to groziło rozstrzelaniem jakby się ktoś dowiedział). Później tych Żydów coraz mniej przychodziło na budowę i pewnego razu przyszło ich 15 i teść wszystkich wyprowadził do lasu. I uratowali się. I z tych 15, jak to jest w ewangelii, jeden tylko przyszedł podziękować. Jeden z tych uratowanych przez teścia Żydów nazwiskiem Mintz był później personalnym trestu budowlanego i on wskazał na teścia, żeby teścia powołano i powołano go. Teść miał możliwość ratowania młodych ludzi zatrudniając ich w różnych zawodach, a często się zdarzało, że ci ludzie nie mieli odpowiednich kwalifikacji danego, wykonywanego zawodu.

Na terenie całego Wilna były zostawione komórki byłych konsomolców. Nie tylko z innych narodowości. Bardzo dużo biedoty żydowskiej bardzo chętnie współpracowało z tym reżimem komunistycznych. Poza tym dużo takich rodzin mieszanych, niezdecydowanych narodowościowo, też Ignęło do tego konsomolu, czy to ze względów oportunistycznych, czy też nawet chęci ideologicznej. Jak Rosjanie wycofali się pod naporem Niemców w 1941 r. z Wilna, to te komórki zostały i Rosjanie później podczas okupacji uaktywnili te komórki tzn. one nie ujawniały się, nie rzucały się w oczy, ale zbierały materiały przeciwko AK. Jak później oni weszli to porządkowali te materiały. Uderzenie nastąpiło później (takie pojedyncze aresztowania też były przez cały czas, jak tam wiedzieli o kimś kto zajmował jakieś stanowisko w AK, to też aresztowali), takie masowe aresztowania w grudniu 1944 r. Ale to już była akcja przygotowana bardzo dokładnie.

Rosjanie ogłosili mobilizację, bo oni uważali wszystkich mieszkańców za obywateli sowieckich, więc obowiązek był służyć w armii sowieckiej, oczywiście nikomu się nie chciało. Były wypadki przymusu, to zabierali do armii sowieckiej Polaków.

Pierwsza kwestia obywatelstwa, to była przy Litwinach. Litwini wydali zarządzenie, że wszyscy ci, mieszkali przed I wojną w Wilnie i ci którzy urodzili się w Wilnie automatycznie dostawali obywatelstwo litewskie, obywatel litewski narodowości polskiej. To było w 1940 r. Ja miałem dowód polskiprzedwojenny i tym dowodem posługiwałem się. Pierwszy dowód taki obcy to trzeba było wyrobić za czasów niemieckich. To był taki dokument, po jednej stronie po niemiecku było napisane, po drugiej po litewsku, że narodowości polskiej, wiara tam też była wpisana rzymsko-katolicka, i fotografia. I tym dowodem posługiwałem się do 1945 roku. Za Litwinów nie zmuszano, tzn. było takie naciskanie, żeby zapisywać się jako narodowość litewska, ale nikt nie zapisywał się i nie było takiego wielkiego przymusu.

Zatrudniłem się jako szklarz. W domu był diament do cięcia szkła i było parę inspektów tak że musiałem od czasu do czasu coś naprawić, a zdolności manualne miałem, więc to zajęcie nie sprawiało mi trudności. Ponieważ nie było szklarzy, bo większość szklarzy w Wilnie było narodowości żydowskiej i zostali wytępieni, więc tych szklarzy było mało i byłem bardzo wzięty. Poza tym po robocie, a dzień roboczy trwał 10 godzin, to ludzie prywatnie mnie wciągali można powiedzieć siłą do mieszkań, żeby im szyby powstawiać do okien. Wyciągali szyby z obrazów i tak jakoś sztukowałem, żeby te okna przed zimnem zabezpieczyć. I tak całą jesień do grudnia 1944 r. Później zimą nie było tak dużo tej roboty, byłem przerzucany do innych robót, przy dekarzach byłem pomocnikiem, przy betoniarzach, ale w każdym razie zaświadczenie, że pracuję chroniło mnie od pójścia do sowieckiego wojska.

30 grudnia 1944 r., to była niedziela, przyszła sąsiadka wcześniej rano ok. 8.00 i mówi do mojej matki, żeby nie wypuszczała synów z domu, bo jest łapanka w Kolonii, łapią wszystkich mężczyzn od 18 do 60 roku życia. Mnie to bardzo zaintrygowało, ale nie chciałem żeby z łóżka mnie wyciągnęli i na pidżamę włożyłem ubranie, korzuch i wyszedłem do ogrodu, żeby zorientować się co się dzieje i tak jak mówiłem, że za każdym krzakiem siedzi Bolszewik, i właśnie wyskoczył Bolszewik zmarznięty i ręce do góry i popędził mnie. W środku tej Kolonii stał samochód ciężarowy i tam już siedzieli i mnie też tam wpakowali. Zawieźli nas do Nowej Wilejki, tam gdzie były koszary i tam wprowadzili nas do takiego wielkiego pomieszczenia, gdzie trzeba było składać dokumenty i rejestrować się. Tam spotkałem pana administratora z Dubnik, który jak przyszli Bolszewicy wyniósł się stamtąd i też w Kolonii Wileńskiej za moim wyszukaniem mieszkania mieszkał. Mnie to denerwowało, chciałem się zapisać, żeby wsadzili mnie do celi i dali spokój, a ten mówi "czekamy panie Zygmunco, jeszcze mamy czas". I tak się złożyło, że tak zapełnili te wszystkie piewnice, gdzie były cele i nas jakieś 50-60 osób zostało i nie mieli gdzie nas pomieścić. Przeprowadzili nas do drugiej sali, ale na poziomie już ulicznym i tam nas trzymali. Został tam przyprowadzony pan Jerzy Łoziński pseudonim Jeż, kierownik placówki kontrwywiadu pod kryptonimem "Cecylia". W Bydgoszczy, czy w Toruniu był proces i w 1948 r. został stracony. To był proces trzech: Łoziński, Subortowicz i ..

.....Oni mieli swoją siedzibę kontrwywiadu właśnie w Kolonii Wileńskiej. W czasie mojej pracy konspiracyjnej, to od czasu do czasu współpracowałem z nimi. Następnego dnia pod ten gmach, pod te okno, przyszła moja narzeczona. Ja zdążyłem zorientować się, że jeżeli przyjedzie kierownik, albo personalny zakładu pracy, to oni reklamowali i wypuszczali takich. Ja przez to okno krzyknąłem do mojej narzeczonej "niech przyjdzie Mintz mnie wyreklamować". Moja narzeczona pobiegła do domu i przekazała przysiemu teściowi tę informację, on udał się do tego Mintza i poprosił go aby udał się do tych koszar z rekomendacją. On się zgodził. Wsiadł na motocykl i przyjechał do Milejki, poszedł do naczelnika KGB, który zarządzał tą całą łapanką i zwolnili mnie na tę interwencję. Wyszedł również pan Drozdowicz i Łoziński, którego żona też interweniowała u jego szefa i następnego dnia został wyreklamowany.

Wróciłem do domu i nie wiadomo było co dalej robić, bo ciągle chodzili po domach i wylapywali w dalszym ciągu młodych ludzi do wojska. Sytuacja była nieprzyjemna, bo dokumenty które miałem przy sobie zostały mi przy aresztowaniu zabrane. I tych dokumentów już nie dostałem. Nie miałem żadnych dokumentów, ani zaświadczenia pracy. W Wilnie chodziły patrole NKWD i szczególnie młodych ludzi legitymowali i jeżeli ktoś nie miał dokumentów zostawał zatrzymany i albo aresztowany, albo wcielany do wojska sowieckiego. Spodziewaliśmy się, że do naszego domu lada chwila znowu wejdą i będą sprawdzali czy jesteśmy w domu. Przez cały czas okupacji niemieckiej istniała komórka komunistyczna i rejestrowała kto należał do AK i w ogóle kto jest w domu. Ja podejrzewam jedno, że w okresie lat 49-41 przy tak zwanej drugiej okupacji sowieckiej, bo pierwsza okupacja Wilna była we wrześniu 39 r. i później od 15 do 23 czerwca była druga okupacja. W czasie tej drugiej okupacji powstała komórka konsomołu na terenie Kolonii Wileńskiej. Przewodniczącym tej komórki był taki syn zarządcy wodociągu, jego popularnie nazywali "Pompiarz" i on się nazywał Szajkowski. Pochodzenia Rosjanin. Ta cała Kolonia Wileńska powstała w latach 1910-1914 przed I wojną światową. Tam został wykupiony ten teren, podzielony na działki i tam już szereg domków stało. Najpierw była to kolonia kolejowa, a później ludzie tam budowali swoje domki letniskowe, bo tam są piękne tereny. Ten Szajkowski przy carskich władzach był tym pompierzem, tzn. opiekował się tym wodociągiem i tak już został. Jego syn Arkadiusz był był przewodniczącym tej komórki komunistycznej. Należało tam parę osób. M.in. należał tam młodszy syn sklepikarza Wierzbicki. On tam blisko współpracował z tym Szajkowskim. W 1941 r. w maju sowieci organizowali próbną alarmy, tzn. przygotowywali do obrony przeciwlotniczej cywilów. I kiedyś w niedzielę naturalnie w czasie nabożeństwa zorganizowali takie zebranie, ja na to naturalnie spóźniłem się bo byłem na mszy. Był tam wykładowca, który bzdury gadał. Opowiadał jak to Bolszewicy nie mogli zdobyć umocnień w czasie wojny chińskiego-rosyjskiego, ponieważ te umocnienia były zbudowane z gumy i te bomby odbijały się od tego i rozrywały się w powietrzu i szkody nie robiły. Oczywiście to były bzdury, wszyscy się śmieliśmy, ja machnąłem ręką, powiedziałem, że takich bzdur nie będę słuchał i wyszedłem z tego zebrania. Na drugi dzień przyszedł Wierzbicki z karteczką, że mnie wzywa prokurator do siebie i że mam stawić się w lokalu konsomołu w godzinie wieczornej. Musiałem iść. Poszedłem tam, tam była odegrana komedia, był tam ten Arkadiusz i jakiś chłopak członek tego konsomołu, jakiś taki prymitywny, i zaczęli mnie besztać, że ja przeciwko władzy ludowej występuje, buntuję młodzież, i że za to grozi wywózka do Związku Radzieckiego do obozu pracy. Ten Wierzbicki też tam siedział i przysłuchiwał się. Szajkowski jak wchodził Niemcy w 1941 r. to uciekł gdzieś tam do swoich krewnych. przy granicy dawnej polsko-sowieckiej. Natomiast ten Wierzbicki został i nikt się go nie czepiał. Widziałem go także na koncentracji w Wołkorowiczach. Z tego wnoszę, że ten Wierzbicki w dalszym ciągu należał do tej zakonspirowanej komórki komunistycznej. Podejrzewam, że on był tym informatorem, notował wszystko kto gdzie przynależał a ponieważ żył byliśmy wszyscy to wszyscy o wszystkich wiedzieli.

Mój brat, który uniknął tego aresztowania, bo w tym czasie 30 grudnia jak była ta łapanka on był u naszych wujostwa w Dolnej Kolonii Wileńskiej i grał w brydża. On ukrył się w szafie, a wieczorem przebrał się w ciotki ubranie i przyszedł do domu już po łapance, ale ciągle groziło mu to, że przyjdą do domu i go zabiorą. Poszedł do Wilna u jakiegoś kolegi nocował. Mnie zabrała moja narzeczona do Wilna bo powiedziała, że w Wilnie łatwiej

nas będzie ukryć. Ja i brat siedzieliśmy u przysłego mojego teścia kilka dni na ul. Artyleryjskiej. No więc nie mogliśmy siedzieć na czymś garnuszku (w tamtych czasach trudno było o żywność) i zdecydowaliśmy się (w tym czasie było RKU Wojska Polskiego otworzone w Wilnie) zapisać do wojska polskiego. To był styczeń 1945 r. Większość młodzieży zagrożonej tam się zapisywała. To, że wyszliśmy z domu od moich teściów było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, bo na drugi dzień przyszli po nas z listą z naszymi nazwiskami i szukali nas tam.

Pierwszy do RKU poszedł mój brat. To się mieściło na ul. Zyguntowskiej w Wilnie pod numerem 14 był lokal przygotowany. Formalności trwały bardzo krótko. Podawało się nazwisko i imię i przechodziło się do następnego pokoju, gdzie golono włosy. Potem zwalniano nas do domu i mieliśmy się zgłosić za dwa dni do koszar na ul. Wirkołmierskiej i stamtąd będziecie przewiezieni do Białego Stoku. Nie znaliśmy sytuacji, nie mieliśmy dostępu do pełnych informacji. Nikt nie wierzył, że to jest sytuacja trwała, myśleliśmy, że to jest tymczasowe. Sądziłyśmy, że rząd londyński upomnie się o Polaków, który będzie miał wsparcie sojuszników. My nie wiedzieliśmy, że los Polaków na Kresach Wschodnich został już przesądzony. Byliśmy w konspiracji, walczyliśmy o te Kresy i myśleliśmy, że jakoś ta sprawa zostanie załatwiona. Wyjeżdżając tam wiedzieliśmy, że Rosjanie zajęli ten teren, ale nigdy nie myśleliśmy, że te tereny są stracone na wiele, wiele lat. Zgłaszając się do tej armii, ratowaliśmy własne życie, bo wiedzieliśmy co to jest wywózka do Rosji szczególnie w warunkach wojennych. Przecież widzieliśmy na ulicach w Wilnie jak ci ludzie w szmatach byli pędzeni na kolej do wagonów.

Do RKU zgłosiło się dużo osób np. Hakiel Bogdan, Ludwik Wierciński, Piekielski. Jak zebraliśmy się w koszarach, to tak jakbyśmy byli w swoim gronie. Z tych oddziałów partyzancki, z tej koncentracji bardzo dużo osób zgłosiło się do RKU. W RKU to było bardzo elegancko. Wszyscy oficerowie w mundurach polskich, z krzyżami walecznymi i bardzo elegancko, wszystko po polsku tak jak na normalnej placówce polskiej. Ludzie dorośli też tam się zapisywali. Była atmosfera grozy, jakiegoś kataklizmu. Spodziewaliśmy się najgorszego. Najbardziej obawialiśmy się aresztowania i wywózki. Dużo moich kolegów, którzy byli tego 30 grudnia podczas łapanek wywiezieni do Rosji nie wróciło. Zmarli tam w obozach.

To obcięcie włosów to było zabezpieczenie. Dopiero później się o tym dowiedziałem, bo na początku myślałem, że może to w celach higienicznych, ale potem, w Białymstoku, to jeżeli patrol zatrzymał takiego z ogoloną głową, to nie pytali się o dokumenty, tylko od razu zatrzymywali i traktowali jako dezertera.

Po tych paru dniach, jak przyszliśmy do tych koszar, przetrzymali nas jeden dzień i zwolnili nas znowu do domu. Brat poszedł wcześniej i wyjechał wcześniej transportem do Białegostoku. Ja miałem to szczęście, że na stacji w Wilnie zderzyły się dwa pociągi z bombami lotniczymi i był straszny wybuch. W promieniu kilometra były wszystkie domy zburzone i to zdezorganizowało im całą pracę i ten termin wyjazdu został przesunięty, ale po 10 dniach ten transport wyjechał. Jako konwojenci było 3 żołnierzy radzieckich i jeden kapitan Fuciato - tak się przedstawił. Rodziny mogły nas odprowadzić. Narzeczona odprowadziła mnie do pociągu do wagonu towarowego, w którym był piecyk na trójnogu i garstka słomy. Na tej słomie nikt nie chciał się położyć bo tak niechlujnie wyglądała. I tak Wilno opuściłem. Pojechaliśmy przez Lidę, do Grodna. W Grodnie odsiedzieliśmy dwa dni i później przez Kuźnicę 22 czy 23 stycznia dotarliśmy do Białegostoku.

I tutaj zderzenie z rzeczywistością. Wyszadź nas z wagonu na dworcu głównym, wyprowadzono na taki plac przy dworcu, ustawiono nas w grupy i przyjechał na koniu oficer polski w rogatywce, w mundurze, bez płaszczka, chociaż mróz był, w wysokich butach i odezwał się do nas piękną połajanką ruską. Takie to było spotkanie z wojskiem polskim. Na mnie wrażenie zrobiło to olbrzymie. W pewnym momencie sobie powiedziałem ja w tym wojsku służyć nie będę. Właściwie to on nie obłożył nas tą połajanką, tylko tego konwojującego, bo on zgubił po pijanemu wszystkie nasze dokumenty. Te dokumenty, które z RKU wiozł, nasze dane personalne, badania lekarskie. Ten oficer w polskim mundurze był w randze majora. Jak on chciał dostać naszą listę, a konwojujący powiedział, że nia ma bo zgubił, to wtedy się zaczęło... Dla mnie to był szok. Ja rozumiem, że to może być socjalistyczne wojsko o lewicowym przekonaniu, ale nigdy nie myślałem, że zastępca dowódcy pułku zapasowego to jest czysty Rosjanin, który ani jednego słowa po polsku do nas przemówić nie umiał, a jeszcze takimi wulgarnymi słowami nas obrzucił. Tam któryś się odezwał - co to za wojsko polskie, którego oficer po polsku mówić nie umie. To był 4 Pułk Zapasowy Piechoty. Ten pułk gromadził wszystkich złapanych, czy też ochotników dobrowolnych pod przymusem ze wszystkich stron Kresów. Tam byli ludzie z okolic Lidy, Baranowicz, Nowej Wilejki, Wilna, Grodna i nawet ludzi po 50 roku życia, wszystkich tam zwozili. Po jakimś czasie, jak staliśmy na tym placu przeprowadzili nas do koszar niby. To były budynki fabryczne na ul. Krakowskiej w Białymstoku, otoczone płotem drewnianym z wieżyczkami, tak jak obóz, warta przy bramie, nikogo nie wypuszczali. Nas wprowadzono do takiego pomieszczenia gdzie był straszny zaduch. Na korytarzach i w tych salach, gdzie kiedyś stały maszyny podłoga była pokryta warstwą mazi takiej, błota, brudu, w której jak człowiek utapiał się to widział wszy. Warunki higieniczne były straszne. Przerażenie wszystkich ogarnęło. Przecież tam byli ludzie, można było dać wiadra, szczotki i posprzątać bym tam trochę. Prawdopodobnie w ten sposób chcieli zmusić ludzi, aby szybciej decydowali się na przydział do jakiejś broni, szczególnie tych chłopców z rodzin inteligenckich. Żeby oni decydowali się, żeby nie chcieli siedzieć w tych koszarach. Tam też spotkałem się z moim bratem, który już miał przydział wojskowy. Dowiedziałem się od niego, że w tych koszarach, przyszedł oficer polski, który przedstawił się, że się nazywa Branicki, był doktorem praw, z Krakowa pochodzi, prawdziwie nazywał się Barenstajn, który chodził po salach

i zbierał prawników. Akurat w tej grupie, w której przyjechał brat było dużo prawników (brat przyjechał tam trochę wcześniej niż ja) np. Szyszko, Stacewicz i inni i ci ludzie mieli już prawo skończone, niektórzy starsi mieli praktykę prawniczą kilkuletnią za sobą i mój brat też miał prawo skończone. I on tych prawników zabrał ze sobą, powiedział, że skoro są już zmobilizowani to on ich zabiera i są zmobilizowani do wymiaru sprawiedliwości. Powiedział im żeby się nie bali, to będzie długa historia bo będą przechodzili staż, ale brakuje prawników do odtworzenia prawidłowego wymiaru sprawiedliwości. I jak spotkałem brata to on był już umundurowany, ale nie miał gdzie mieszkać. Bo oni dali przydział i puszczali samopas, tzn. nie zabezpieczali mieszkań, ani żadnych kwater. I brat chcąc mieć dach nad głową w tych koszarach jeszcze mieszkał. Załatwił sobie to, że w takiej wielkiej kancelarii mógł przenocować i to jeszcze na takim olbrzymim arkuszu dykty. No i mnie przygarnął tam. Tam siedziałem kilka dni, bo brat dostał jakiś przydział na mieście, jakiś pokój, a ja w tych koszarach siedziałem czekając na komisję poborową, która miała przydzielać do odpowiednich oddziałów na uzupełnienie. Jak ta komisja przyjeżdżała, to mówiło się, że przyjeżdżają kupcy, kupować ludzi. Po kilku dniach, przyjechali ci kupcy. Wśród nich był lekarz i trzech oficerów w mundurach polskich, ale prawdopodobnie byli ze służby informacyjnej, którzy przepytawali wszystkich kandydatów. Oczywiście jak nie mieliśmy przydziału to nie mogliśmy tych koszar opuszczać. Toalety były na zewnątrz i to zapchane (całe szczęście, że był mróz, bo to wszystko było zamrożone). Karmili nas bardzo wykwintnie: rano dawali kawę i kawałek chleba, a na obiad wodniste kartofle tłuczone razem z łupinami i homarami. Jak się później zorientowałem - po wyrzuconych puszkach - homar to była taka amerykańska konserwa. Oni te konserwy wrzucali do ziemniaków i tłukli to razem z ziemniakami i nam podawali do jedzenia. Oczywiście naczyń żadnych nie było i każdy musiał sobie sam kombinować np. puste puszki po konserwach. To jedzenie było obrzydliwe, ale coś trzeba było jeść. Każdy tam miał jakiś zapas z domu, kawał słoniny, czy boczku i tym się dożywał. Naturalnie tegoż samego dnia oblaży nas wszy. Z pępka to się palcami wybierało. Wszy włożyły wszędzie, nawet we włosy kożucha. I tak się wszyscy snuli po tych koszarach, tacy smętni. Widok był straszny i wrażenie i przeżycia były straszne. Uprowadzili nas natychmiast, że za dezercję grozi kara śmierci i że nie możemy wychodzić z koszar, bo na ulicach chodziły patrole, jeden za drugim i taki patrol jak spotkał młodego człowieka, to nie pytał o dokumenty, tylko od razu podnosił czapkę do góry i jak była głowa ogolona to znaczy, że dezertor. Uprowadzili nas, że jak ktoś będzie złapany poza koszarami to będzie rozstrzelany za dezercję. Reżim był straszny. Tam nikt nie uciekał.

Wracając jeszcze do tych ubikacji. Jak już mówiłem te kible były zapchane i nie można było tam wejść, to wykopali takie dziury na trzy metry głębokie i postawili nad tym taki trójnóg na który się wchodziło i w ten sposób się załatwialiśmy. Czasami ten trójnóg był oblodzony, bo to przecież mrozy były i ktoś się poślizgnął i wpadał do tych ekstremów. Żadnej wody do mycia, żadnych warunków higienicznych, nic nie było. Jak w sowieckim więzieniu. Dzięki bratu dostałem się do tej kancelarii gdzie przysiadłem, a oni nie mieli ludzi takich, którzy mogliby zrobić zestawienie na żywnościówkę, to przysiadłem się do stołu i zrobiłem raz i drugi to zestawienie i tak zostałem tam w tej kancelarii.

Jeszcze brat mi powiedział, że bym nie zgłaszał się, że bym przeczekał bo może wybiorę jakąś inną służbę bo na front to ja nie miałem ochoty iść, a tutaj jest dwa tygodnie przeszkolenia i na mięso armatnie idziesz. Jak przyjechali ci kupcy to pytali jakie mam wykształcenie, powiedziałem że średnie z maturą, a oni na to że im takich nie potrzeba pójdźcie na normalnego żołnierza. Oni kupowali do szkoły oficerskiej. Z maturą to oni nie chcą, oni chcą "nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera", a ja chciałem iść do szkoły oficerskiej. I brali takich co mieli jedną, dwie klasy gimnazjum a nie liceum, szkoła podstawowa, szkoła powszechna, takich chłopców brali. I zostałem, ale po paru dniach znowu przyjechali kupcy, którzy brali do normalnego wojska, zwykłych żołnierzy ja zacząłem symulować, że mam wzrok słaby. To powiedzieli, że przyjedzie okulista i mnie przebadają. W międzyczasie podniósł się szum w koszarach, że w takich warunkach nas przetrzymują i wywieźli nas do takiego jakiegoś majątku pod Białystok. Tam była olbrzymia stodoła i były tam robione czteropiętrowe prycze z żerdzi i co kawałek stał olbrzymi taki żelazny piec, w którym przez cały dzień palił się ogień. Ale to nic nie dawało, tam był mróz w środku. Ściany tej stodoły były z desek, dach był bardzo ażurowy, temperatura na zewnątrz wynosiła -20 stopni. Ale tam spędzili parę tysięcy ludzi do tej stodoły. Mnie ten szef kompanii, który był mianowany ze starszego strzelca przedwojennego na starszego sierżanta i szefa kompanii, pojęcia nie miał o tej całej robocie kancelaryjnej i ja i taki jeszcze jeden starszy pan z Wilna, tę kancelarię mu prowadziliśmy. Nas już nie pędzili już do tej stodoły, tylko do takiego baraczkę, gdzie były miejsca do spania i tam właśnie przysiadłem parę tygodni, też dzięki bratu. Bo brat będąc w tej prokuraturze jako praktykant oficera śledczego zorientował się, że tam potrzebują żołnierza pisarza i on poprosił pana porucznika, pan porucznik poszedł do prokuratora, którym był Polak, ale Polak z Rosji i poprosił jego i dostałem przydział do tej prokuratury wojskowej. To była wielka rzecz żeby wyrwać się stamtąd, żeby nie być mięsem armatnym. Wierzyliśmy w to, że to wszystko szybko się skończy.

Rozpoczął się nowy etap mojego życia w prokuraturze wojskowej w Białymstoku na stanowisku pisarza. Prokuratura mieściła się w takiej willi przy ul. Mickiewicza. Połowę tej willi zajmował sąd wojskowy, a drugą połowę prokuratura wojskowa. W tamtych czasach w prokuraturze wojskowej byli prawnicy, którzy zostali zmobilizowani. Był taki porucznik Kondracki, który przed wojną pracował w izbie skarbowej. Wszyscy chłopcy, pisarze, maszyniści to byli normalnie z mobilizacji wzięci i przydzieleni. Ja mieszkałem u takiej starszej pani, która chciała

mieć zabezpieczenie i chciała z jakimś mężczyzną mieszkać. I ona miała mieszkanie dwupokojowe z kuchnią i ten jeden pokój mi odstąpiła. Miałem suchy prowiant, kawałek surowego jakiegoś mięsa, pięć kilo kartofli, mąkę, to był przydział na dekadę.

Cały charakter tego miasta to nie była Polska wszędzie byli Sowietci, wszędzie byli UB-owcy. Dlatego to było tak. Dlatego, że zaraz w miesiąc później czy półtora miesiąca po naszym wyjeździe z Wilna ruszył tzw. tranzyt repatriacyjny. Ludzie z Wilna, przeważnie inteligencja uciekali, bo nie chcieli być narażeni na wywóz do obozu do Rosji. Ja uważam, że Rosjanie takiego kota Polakom popędzili w Wilnie, że każdy zostawiał wszystko, cały dorobek swojego życia, jakieś cenne pamiątki, swoich najbliższych na cmentarzu byle by wyrwać się z tego piekła. Liczyli, że w Polsce będą wśród Polaków i tam nie będzie tego ucisku. Bardzo się mylili. Gdyby, z perspektywy tych pięćdziesięciu lat, gdyby przeczekać (choć ja uważam, że ofiary byłyby straszne, szczególnie inteligencja by ucierpiała) ten czas tego ugniotu straszego, to mam wrażenie, że dzisiaj sprawa Polaków na Litwie inaczej by wyglądała.

Ciągle się słyszało o oddziałach leśnych, o partyzantach, którzy napadli na jakąś miejscowość, na posterunek milicji, na posterunek UB. Ciągle to było powszechnie słyszane. W tym czasie na ulicy można było spotkać uroczyste pogrzeby tzw. utrwalaczy władzy, tzn. tych, którzy zginęli za władzę ludową. Orkiestra szła, bez księdza, z wiankami czerwonymi, chorągwiemi w kierunku cmentarza. Mieszkańcy byli przyzwyczajeni do obecności tego wojska Berlinga. Ich synowie i ojcowie też byli w tym wojsku. I każdy też kombinował żeby nie wyjechać gdzieś do Lublina, czy gdziekolwiek. Jak po półtora miesiąca ruszył ten ruch repatriacyjny, to wszystko przejeżdżało przez Białystok. Przy każdym transporcie spotykało się znajomych, czy krewnych, którzy uciekali z Wilna. UB szalało. Oni zdawali sobie sprawę, że z każdym transportem przyjeżdżają konspiratorzy wileńscy i że oni tutaj w dalszym ciągu prowadzą akcję. M.in. Łupaszo był na terenie Białegostoku, Zygmunt Błażejewicz - kolega naszych wspólnych zabaw dziecięcych - który w oficjalnej wersji miał bandę Zygmunta. Niektórym udało się przedostać po rozbiciu konspiracji czy AK wileńskiego na teren Białegostoku i tam jakoś przyłączyć się do tych oddziałów.

Przywieziono mnie do tej prokuratury, szefem kancelarii był pan podchorąży Kobyliński, prawnik. Bardzo pedantyczny, on nie był żadnym lewicowcem, ani komunistą, tylko on uważał, że jak jest w wojsku, jak został zmobilizowany, to on musi swoje obowiązki wykonywać. Owszem, rozmawialiśmy na tematy polityczne i wiedzieliśmy, że jesteśmy wszyscy przeciwni tej władzy. Ale tego głośno nikt nie obwieszczał. Mnie polecono siedzieć na repertorium tzn. prowadzić taką książkę, w której zapisywano wszystkie przychodzące i wychodzące sprawy z prokuratury. Naturalnie tej książki nie było, tylko papier pakowy zszywało się i na tym papierze pisałem. A sprawy to były takie: kradzieże w wojsku, pobicie się, nieposłuszeństwa. Natomiast wszystkie sprawy polityczne były prowadzone przez UB. Żaden oficer śledczy prokuratury nie był zaangażowany w sprawy polityczne w tamtym czasie. Zresztą później też nie, bo jak ja 7 lat później siedziałem w więzieniu, to też żaden oficer z prokuratury mnie nie przesłuchiwał. Prokuratura wojskowa zajmowała się sprawami czysto wojskowymi. Dezercją się zajmowała. Inna rola była sądu wojskowego, bo sąd wojskowy angażował się w sprawy polityczne też. Brat też tam pracował jako asystent oficera śledczego. Ale nam to nie dawało spokoju, że my uczestniczymy w takiej imprezie. I któregoś dnia spotkaliśmy na ulicy naszego znajomego z Wilna pana Antoniego Rudzińskiego, byłego w-ce starostę w Równym przed wojną. Już znaliśmy go w Wilnie i brat był z nim zaprzyjaźniony. Później dowiedziałem się, że on w Wilnie pracował w wywiadzie. Zaczęliśmy rozmowę o wszystkim i mówimy, że chcemy nawiązać kontakt z konspiracją. I on nam pomógł w nawiązaniu tego kontaktu.

Służba była od 8.00, później była godzinna przerwa i do 18.00. Po służbie spotykaliśmy się ze znajomymi repatriantami z Wilna.

Po paru dniach pan Rudziński skontaktował się z nami i zaprowadził nas do tego samego domu w którym mieszkał, tylko piętro wyżej, taki drewniany domek, tam na poddaszu mieszkał taki pan, który nazywał się Jan Obora pseudonim "Olza". On był drugim zastępcą szefa podobwoду Białystok AK. To że on był drugim zastępcą szefa podokręgu Białystok dowiedziałem się dopiero po odczytaniu wyroku. Wtedy tego nie wiedziałem. Pytał się czy składaliśmy przysięgę, my odpowiedzieliśmy że tak. I to była dalsza kontynuacja służby w AK. Powiedzieliśmy gdzie pracujemy, jakie mamy możliwości dostępu do dokumentów. Bardzo się ucieszył i nawiązała się współpraca. Dostarczałem AK najrozmaitsze dokumenty takie jak: rozkazy, spis więźniów wywiezionych do Rawicza, zawiadomienie o wywózce więźniów do Rosji. W prokuraturze był taki tok postępowania, że akta śledcze przesyłano do prokuratora wojskowego. One przychodziły z UB do repertorium I ja przejmując te akta śledcze - to były bardzo skrócone akta, albo tylko jakieś zaświadczenia skrócone na tyle, ażeby prokurator mógł się zorientować w sprawie i wydać sankcję, bo do zatrzymania kogokolwiek musiała być wydana sankcja prokuratora - zapisywałem do księgi i w tym czasie ja miałem czas na przeczytanie tego i zapamiętanie i mogłem przekazać dalej. Chodziłem do tego pana Obory i u niego pisałem meldunki i przekazywałem mu informacje.

Prawdopodobnie informacja wojskowa działała na terenie Białegostoku, po pod koniec mojej służby, latem 1945 r. tych wszystkich oficerów śledczych, którzy mieli przedwojenne dyplomy, to przesuwali tych wszystkich z prokuratury wojskowej do prokuratury kolejowej. Mój brat też został przesunięty. Czyli tam już była prowadzona selekcja ideologiczna.

Pamiętam taką sprawę Adama Ściegiennego, cichociemny w stopniu podpułkownika. Jak dostałem te akta do zapisania zorientowałem się, że jest to człowiek bardzo cenny dla AK (naturalnie groziła mu kara śmierci) i zaraz złożyłem meldunek i jakieś tam komórki AK-owskie zadziałały w ten sposób, że on został uratowany. Po 15 sierpnia tzw. inicjatywa Mazurkiewicza Radosława znaczy ujawniania się, to widziałem go jak przyszedł do prokuratora Ołęckiego podziękować mu - nie wiem za co.

Ludzie aresztowani byli przetrzymywani na ul. Bema w Białymstoku. Rodziny nie wiedziały gdzie oni są. Pewnego dnia przysłała cała lista więźniów wywiezionych do Wronek. Ja tą listę przepisałem i przekazałem do AK. Meldunków było dużo, ja wszystkich nie pamiętam, ale te wszystkie meldunki zostały mi pokazane w czasie mojego śledztwa. Musiałem potwierdzać, że to ja pisałem te meldunki. Tak współpracowałem z panem Oborą. Pan Obora był człowiekiem wielkiego patriotyzmu. On mieszkał z żoną. Oficjalnie był księgowym w jakiejś fabryce.

W Białymstoku spotkałem się z panem Łozińskim, też przyjechał, z panem Subortowiczem. Pan Łoziński prosił mnie o pewne przysługi, które mu wyświadczałem, tzn. przechowywałem cała legalizację (pieczętki do odtwarzania dokumentów fałszywych), broń tej komórki "Cecylia". Oni mieszkali w domu repatriacyjnym i nie mogli tego tam trzymać i najrozmaitsze różne usługi świadczyłem, ale tylko panu Łozińskiemu nikomu więcej. O tych moich działaniach w prokuraturze, tzn. o tych przekazywanych przeze mnie informacjach z prokuratury do AK, wiedział tylko Franek Zawisza i on też pomagał. Orientował się, że mamy kontakty z konspiracją pan porucznik Józefowicz. I też dostarczał nam materiały, to mogę dzisiaj powiedzieć, chociaż na procesie to nie wyszło na jaw. I on nam pewne informacje przekazywał, do których my nie mieliśmy dostępu a on miał, bo był zastępcą prokuratora. On był patriotą polskim i to że on się tam znajdował wynikało z tego, że też został zmuszony do tej służby. Informacje jego były bardzo cenne, np. o ludziach pracujących dla UB. Później on się przeniósł do Warszawy i nie miałem z nim kontaktu. Ta moja współpraca z panem Oborą trwała do grudnia 1945 r. do momentu kiedy zostałem zdemobilizowany rozkazem wodza naczelnego, że wszyscy którzy mają iść na studia mają być zdemobilizowani. Ja złożyłem papiery na politechnikę łódzką i na podstawie tego zaświadczenia zostałem zdemobilizowany 2 czy 4 grudnia 1945 r. W międzyczasie - a brat mój został skierowany do służby w wojskowej prokuraturze kolejowej w Olsztynie i tam z racji pełnienia swoich obowiązków dostał mieszkanie w takim domu kolejowym - w listopadzie przyjechali do Olsztyna moi rodzice, którzy też zostawili cały dorobek swojego życia w Wilnie i przyszli moi teściowie.

Na zakończenie mojej współpracy z panem Oborą i ja i mój brat zostaliśmy odznaczeni Srebrnym Krzyżem Zasługi z metalu.

W AK miałem stopień kaprała nadany mi w Wołkorawickach po przybyciu na koncentrację, to oficjalnie, dostałem karteczkę taką, że zostałem mianowany kapralem, a tutaj w wojsku ludowym zostałem mianowany do stopnia st. sierżanta, bo podobno na tym stanowisku które zajmowałem funkcja ta zaczynała się od stopnia st. sierżanta.

Jak rodzice zainstalowali się w Olsztynie, to pojechałem do nich. Jeszcze parę razy dojeżdżałem do Białegostoku, miałem kontakt z panem Oborą. W Olsztynie musiałem poszukać pracy, ponieważ nie mieliśmy warunków materialnych na podjęcie przeze mnie studiów.

Białystok był zniszczony w 80 %. Został tylko można powiedzieć obwałunek, tzn. te domki na przedmieściach. Centrum miasta było kompletnie zniszczone. A budynki które ocalały to były zajęte przez UB, Urząd Wojewódzki i szpital wojskowy. To w centrum miasta przy ul. Mickiewica. A cała ulica Lipowa to jedna ruina.

Jak przyjechałem do Olsztyna to Olsztyn też był spalony, zniszczony tzn. on był zdobyty prawie cały, a później wojsko rosyjskie pohulało sobie, prawdopodobnie wiedzieli o tym, że będzie przydzielony do Polski i rabowali i palili. Ale w niektórych miejscach tylko był zniszczony. W każdym razie robił wrażenie miasta czystego i zadbanego. Zupełnie inny charakter miało to miasto niż Białystok. Tam mieszkali częściowo autochtoni, ale oni byli spędzeni do takich jakby obozów to znaczy na wsi mieszkali autochtoni, którzy ocalili z tej strasznej nawałnicy wojennej. Front przetoczył się ze strasznymi konsekwencjami. Ta ludność mazurska i warmińska została potraktowana w straszny sposób przez front radziecki. Te gwałty, rabunki, potraktowano ich tak jak Niemców. Był taki obóz dziewcząt i tam jacyś urzędnicy, czy władza tego miasta mogli sobie pójść i wybrać taką dziewczynę na służącą, na pomoc domową, oczywiście za wynagrodzeniem. Ja pamiętam jak przed przyjazdem rodziców odwiedziłem brata w tym Olsztynie to na dworcu przerażenie mnie ogarnęło, bo tam stała taka klatka, a w niej napchane pełno ludzi. Krzyk, wrzask straszne wrażenie. Ci strażnicy, którzy popychali, wymyślali tym ludziom od bestii hitlerowskich... W każdym razie traktowanie tych ludzi było okropne. Miasto było już zaludnione. Pod koniec 1945 r. już trudno było o zdobycie mieszkania. Bardzo dużo mieszkano kolejarzy bo to był bardzo ważny węzeł kolejowy zaraz po wojnie też, bo to raz, że transporty szły repatrianckie przez Olsztyn, a poza tym cały transport rosyjski zaopatrujący wojska w żywność szedł również przez Olsztyn, przez tę magistralę północną. Miasto miało charakter polski, władze były już polskie. Cały zarząd miejski był już zorganizowany no i naturalnie UB, który już działał. My mieszkaliśmy na ul. Piaskowej, w takim bloku, mieliśmy mieszkanie dwa pokoje z kuchnią. Ten blok ocalał, prawie był nietknięty przez wojnę. Brat tam dostał to mieszkanie i rodzice przycupnęli w tym mieszkaniu. Trzy tygodnie rodzice jechali z Wilna do Olsztyna z przesiadkami. Tym samym transportem jechali

przyszli moi teściowie, którzy mieli olbrzymi bagaż rzeczy, ale i też olbrzymi bagaż ludzi: dwie ciotki, dwie koleżanki żony. Teść mój architekt objął stanowisko architekta miejskiego w Olsztynie w radzie miejskiej. I tak zostaliśmy w Olsztynie.

15 sierpnia 1945 r. Jan Mazurkiewicz wydał taką odezwę do żołnierzy którzy jeszcze walczyli w lesie, żeby zaprzestali walki i ujawniali się. Wtedy Obora powiedział, że kończy się nasza działalność, ale my nie przestajemy. Te argumenty Radosława Mazurkiewicza nie bardzo do mnie trafiły, bo jeżeli jest walka w jakiegokolwiek formie to człowiek ma nadzieję, a tu już w tym momencie ta nadzieja została odebrana tzn. musimy pogodzić się z tym stanem rzeczy, który absolutnie nam nie odpowiadał. I w dalszym ciągu miałem kontakt z panem Oborą jeżeli już nie na płaszczyźnie służbowej to na towarzyskiej, bo myśmy się zaprzyjaźnili. Ja urodziłem się w niepodległej Polsce i zostałem tak wychowany i do mnie nie docierało to, że Polska może tę niepodległość stracić.

Jakieś tam zapasy rodzice przywieźli, może to dzisiaj śmiesznie wygląda, ale ojciec był bardzo zaradny. Przywieźli 20 kg słoniny, pół worka mąki, pół worka buraków z własnego ogrodu wybranych a w nim dwa pistolety. Te pistolety przekazaliśmy jakimiś kanałami komuś, kto chętnie wiał te pistolety. W Olsztynie czuło się rękę UB. Mój teść był naczelnikiem wydziału technicznego i architektem miejskim. Stanowisko wydawałoby się eksponowane. Przyjechali, nie mieli mieszkania. Te dwie rodziny, moja i mojej przyszłej żony przez dwa tygodnie mieszkaly w dwóch pokojach z kuchnią. Później teściowie wynajęli od kogoś kto wyjeżdżał na jakiś czas z Olsztyna mieszkanie i teść dostał z urzędu kwaterunkowego przydział na czteropokojowe mieszkanie z łazienką, spiżarnią, bardzo ładne to mieszkanie. Zanim się tam wprowadzili musieliśmy to mieszkanie doprowadzić do porządku, malowanie okien, ścian itd. I któregoś dnia przyszedł jakiś facet machnął jakimś papierkiem przed oczami, powiedział że jest z Urzędu Bezpieczeństwa i powiedział, że mają iść z nim. Dopytywał się jakim prawem oni zajęli to mieszkanie, a teściowa mu tłumaczy, że mąż ma przydział itd. On na to, że to mieszkanie jest zarezerwowane dla UB i zabrał teściową i zaprowadził ją na UB. Przetrzywał ją i przed godziną policyjną, przed 22.00 ją wypuścił i zagroził zbliżyć się do tego mieszkania. Naturalnie to była samowola. Taka była atmosfera z UB.

W pierwszych dniach stycznia zacząłem szukać pracy i dostaję pracę w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego. Naturalnie przy pewnym wskazaniu naszego znajomego. Dyrektorem tego banku był pan Zbigniew Pniak. Towarzystwo było bardzo przyzwoite, większość bankowców. Nawet pracowała tam pani wilnianka, która w Wilnie w banku handlowym pracowała, pani Rezmer z Bydgoszczy, która przed wojną też w banku pracowała. Ja pracowałem w dziale kont. Jak ktoś przychodził z czekiem to musiałem sprawdzić wiarygodność podpisów ze wzorami podpisów i przekazać do wypłaty do kasy. I tak pracowałem. Pieniądze były tam mizerne, ale były przydziały żywności, bo to było powiązane ze Spółem, już państwo wprowadzało system spółdzielczości, znaczy Spółem pracowało nie na tych późniejszych zadaniach państwowych, tylko na tych zasadach przedwojennych tzn. że rejonowe spółdzielnie, które znajdowały się w terenie miały swoje zbieżne drogi w centrali Spółem w Olsztynie. I Stamtąd dostawaliśmy przydziały, a poza tym był obiad. To było bardzo ważne, to było odciążenie rodziny. Jeszcze było drugie śniadanie, od czasu do czasu Unra ciepłą rączką coś dawała np. kakao, co było atrakcją w powojennej głodówce, kakao z jakimiś krakersami. I tak w tym banku pracowałem.

16 lipca 1946 r. odbył się mój ślub w Olsztynie. Zaczęliśmy myśleć już o organizowanie swojego życia rodzinnego. Naturalnie chcieliśmy się dalej uczyć. W Olsztynie nie było wówczas żadnej wyższej uczelni i postanowiliśmy zacząć studia na Uniwersytecie Poznańskim na wydziale rolno-leśnym. Dlaczego w Poznaniu, dlatego, że nie mieliśmy żadnych szans na otrzymanie mieszkania w Warszawie, natomiast Kraków był bardzo daleko i właściwie był bardzo zamknięty w sobie, ta społeczność krakowska nie bardzo przyjmowała ludzi z zewnątrz. Poznań też był zamknięty w sobie i też nie bardzo chętnie przyjmował ludzi z zewnątrz, ale tam były lepsze warunki i mieliśmy bliżej do Olsztyna, gdzie moja rodzina i rodzina żony zapuściła tam już korzenie. Wybraliśmy Poznań, dlatego wydział rolny. W 1939 r. po wkroczeniu bolszewików do Wilna 18 września, 1 października został utworzony Uniwersytet Wileński i ja tam złożyłem od razu tam papiery i zostałem przyjęty na wydział rolny i jeden semestr miałem zaliczony na Uniwersytecie im. Stefana Batorego. I te studia chciałem kontynuować tutaj w Poznaniu. Pod koniec września przyjechaliśmy do Poznania, tu też były trudności ze znalezieniem mieszkania i dzięki koleżance żony, jedna rodzina przyciągnęła nas do siebie, udostępniając nam takie lokum letnie właściwie na strychu. To było takie pomieszczenie otynkowane, podłoga była drewniana a dach to był taki, że jak skakał wróbelek to było słychać. To było na Jeźyczach, na ulicy Niemcewicza.

Poznań był zrujnowany, doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że to jest kolebka polskości - Poznań i Gniezno. Więc jak pierwszy raz przyjechaliśmy do Poznania załatwić te formalności, to naturalnie szukaliśmy ratusza. Ratusz to był ten punkt informacyjny Poznania (przedtem nigdy w Poznaniu nie byłem) znałem to z książek szkolnych i nawet ze znaczków pocztowych, bo to była cała seria miast polskich i tam był eksponowany właśnie ratusz. Ratusza poznańskiego nie można było zobaczyć, bo wieża leżała w gruzach. Po Białymstoku, po Olsztynie Poznań wydawał nam się olbrzymim miastem kulturalnym, mimo tych ruin pełno kwiatów, zieleni, zadbane to wszystko było. Na ul. Św. Marcin, przed tym bankiem przed, zamkiem, który też był w ruinie wspaniałe kwietniki były, rosły szafwie, to jesień była 1946 r. ale to było zadbane i czysto było.

I tak na tym stryszkach zamieszkaliśmy. To była jesień i już były chłody, jakoś to musieliśmy ogrzewać. Ci gospodarze użyli nam taką "kozę", piecyk taki na trzech nóżkach, z jedną fajerką i rurą odprowadzającą dym

do komina. W tym piecyku paliliśmy i ogrzewaliśmy to pomieszczenie. Poza tym wystarałem się o ryczałt za elektryczność i cały dzień ogrzewaliśmy piecykiem elektrycznym. W tym pomieszczeniu nie tylko my tam mieszkaliśmy. Obok w takim dużym pomieszczeniu, kocem odgradzonym, zamieszkała ta przyjaciółka żony z mężem i koleżanką. Więc mieszkaliśmy takim kolchozem i tak żyliśmy. Przydziału na węgiel nie mogliśmy dostać, bo przydział otrzymywali tylko ci, którzy mieli stałe zameldowanie w Poznaniu, a my mieliśmy tymczasowe, jak nie mieliśmy czym palić, więc z przykrością muszę powiedzieć, to wypuszczaliśmy się z kolegą na tereny koło torów kolejowych, na pola na których stały niewyciągnięte kolki po pomidorach i my je wyciągaliśmy i tym paliliśmy w piecu. Jeździliśmy też tramwajem na ul. Składową z workiem i tam kupowaliśmy na lewo węgiel brunatny. I jakoś się przeżyło.

Żona zaczęła studia na sekcji ogrodniczej, ja na wydziale rolniczym. Naturalnie my, repatrianci, którzy przyjechaliśmy ze Wschodu, zetknęliśmy się z tą rzeczywistością komunistyczną, wiedzieliśmy co to jest komunizm. W rozmowach z Poznaniakami oni nas nazywali defetystami, że my defetyzm siejemy, że nic podobnego, że nie będzie tak jak my opowiadamy, że będą kolchozy i sowchozy, że handel będzie upaństwowiony, że wszystko będzie w jednym ręku, dlatego że Związek Kupców Poznańskich pojechał do Mintza (do ministra, który zajmował się ekonomią państwa) i on obiecał, że małych przedsiębiorców i kupców nikt nie tknie ręką i oni będą normalnie prosperować. I oni uwierzyli Mińcowi, ale na krótko, bo parę lat później każdy dostał taki domiar, że musieli swoje przedsiębiorstwa pozamykać.

W pierwszych kontaktach, każdy trzymał język za zębami. To znaczy nikt się nie wywnętrznił co się robiło, kim się było, skąd się przyjechało. Element był rozmaity: synowie byłych ziemian, ludzie z Kresów, było bardzo dużo synów chłopów, rolników poznańskich, którym otworzyła się możliwość studiowania. Zaraz po wojnie w 1945 r. były masowo organizowane kursy dokształcające, w przyspieszonym tempie można było zrobić maturę no i składać podania na studia i przyjęcie następowało od razu. Element był dość patriotyczny. Na pierwszym roku było pewnie dwóch partyjnych. Do ZWM być może ktoś należał, ale nikt nie chwalił się tym. Atmosfera była taka przyjazna, ale do pewnych granic. Nie było wybuchów euforii, czy jawnego wyrażania swoich uczuć, czy poglądów. To już było po tym strajku studentów w Poznaniu 1946 r. jak UB potraktowało studentów na Placu Mickiewicza. Ja jeszcze wtedy nie byłem, ale słyszałem o tych zajściach.

Do takiego pierwszego nieporozumienia między przedstawicielami władzy a studentami doszło w 1947 r. na wiosnę. Struktury akademickie były takie jak przed wojną, tzn. był rektorat, dziekanat, profesorowie przedwojenni, tym samym stylem wykładali, te same lokale, te same pracownie, i te same struktury dodatkowe: koła rolników, leśników itd. Do tego spięcia doszło przy wyborze nowego zarządu koła rolników. Opiekunem koła rolników był prof. Runge, on wykładał weterynarię i anatomię zwierząt, on był bardzo zżyty z młodzieżą, i na tym zebraniu paru kolegów ujawniło się, że należą do ZMW i właściwie to zebranie zostało storpedowane, wszyscy byli oburzeni, wszyscy wiedzieli, że ta władza kładzie rękę już na taką niezależną organizację jaką było koło rolników. No ale studiować trzeba było i to w ciężkich warunkach. W pomieszczeniach było 15 stopni, "koza" paląca się w kącie, jedzenie kiepskie, to wszystko wymagało pewnego wysiłku i silnej woli, żeby można było się uczyć, no ale jakoś ta nauka szła.

Kiedyś odrabiając ćwiczenie z chemii, obok siedział kolega Wilczyński zapytał mnie - "A tyś się ujawnił? Bo ja się ujawniłem i wracam do swojego nazwiska i będę się teraz nazywał Żernicki". A ja nie miałem zamiaru ujawnić się, więc powiedziałem, że ja nie mam z czego się ujawniać.

W styczniu 1947 r. była ogłoszona amnestia i była akcja ujawniania się. Wtedy bardzo dużo ludzi ujawniało się. Zrezygnowali z walki i chcieli uporządkować swoje życia powracając do swoich nazwisk. Oczywiście w tedy jednym przebaczone innym nie. Bo były często takie wypadki, że po roku albo dwóch wracano do tej sprawy i zamykano ludzi za te sprawy, które ujawnił. To zależało od wagi zaangażowania w konspirację.

Natomiast szczerze rozmawiałem z takim kolegą, który pochodził z Wilna i znał doskonale te sprawy., nazywał się Stanisław Kuczyński. On był starszy ode mnie kilka lat, bardzo sympatyczny, szanowany, już nie żyje dzisiaj. Z nim szczerze rozmawiałem.

Żona wiedziała o mojej działalności. Żona była harcerską i należała do Szarych Szeregów.

Jeszcze jak byłem w Olsztynie to miałem kontakt z panem Jerzym Łozińskim, o którym wspominałem. Jak go spotkałem w Olsztynie to on mówi do mnie "Walczy my dalej panie Zygmunco. Teraz to jest organizacja, która nawiązuje się "Wilk", która ma za zadanie przetrwanie i w dalszym ciągu prowadzenie walki z komunizmem. Zadaniem tej organizacji jest zbieranie meldunków o sytuacji jaka jest w Olsztynie, jakie są ruchy wojska" i ja się zgodziłem na to. Złożyłem mu jeden meldunek i powiedziałem, że wyjeżdżam na studia do Poznania i tak się ta nasza współpraca zakończyła. Ale już gdzieś tam byłem zanotowany, co mi spędzało sen z oczu jak się rozpoczął proces pana Łozińskiego.

Tak rok po roku w tym Poznaniu trwaliśmy, przy pomocy rodziny. Brat pomagał mi, bo on był już po studiach, zdał egzaminy sędziowskie, ale aplikatury adwokackiej już nie zrobił, bo władze ograniczyły możliwość ukończenia aplikatury. Brat dużych zarobków nie miał, ale to co mógł to pomagał nam. Teściowie też dawali trochę, a poza tym braliśmy dorywcze prace tak jak rozładowywanie wagonów na ul. Składowej, konwojowanie cukru i wódki

do Szczecinia, bo to była najgorsza linia. Były takie firmy, które wysyłały do pracy. Koło rolników zgłaszało chętnych do tej pracy w monopolu poznańskim. Zgłaszaliśmy się później do takiego urzędu, dawali nam papiery i zamykali w wagonie. Tylko jakiś kij się miało do obrony. Mnie się nie zdarzyło, żeby ktoś się próbował włamać. Chodziło o to, że na stacjach najczęściej kolejarze kradli. Rozbijali zamki, czy też deski z wagonu i zabierali ten cukier czy wódkę, ale jak tam już ktoś siedział to tego nie robili. Po dojechaniu na miejsce np. do Stargardu, oddawało się dokumenty firmnie i wracało się do domu.

W Instytucie Włókien Łykowych były aresztowania. To jest instytut, który przeniósł z Wilna prof. Jagmin. On był propagatorem lnu. Ten instytut pan prof. zorganizował w Poznaniu. W 1948 r. kilku pracowników, w większości Wilian aresztowano.

W okresie studiów nie zetknąłem się z aresztowaniami. Nie zdarzyło się żeby kogoś w czasie zajęć wyprawdzono, żeby ktoś nie przyszedł na zajęcia z powodu aresztowania. O Organizacji Narodowej nie słyszałem.

Prawie rok czasu mieszkaliśmy na tym stryżku i później nam powiedziano, że jakaś rodzina przyjeżdża i musimy opuścić ten strych. Wyprowadziliśmy się na Ławicę ul. Tatrzańska i tam mieszkaliśmy rok czasu, ale już tylko z żoną. Mieliśmy jeden pokój, też był piecyk w stylu "koza" i dojeżdżaliśmy do Poznania. Czasem chodziliśmy pieszo nad Rusalką, a czasem jeździliśmy trojlebusem. Po roku czasu złożyłem podanie do bratniaka w domu akademickim dla małżeństw i po roku dostaliśmy tam pokój na ul. Skarbowej. To był Dom Akademicki. Na pierwszym piętrze mieszkały dwie starsze panie właścicielki tej kamienicy, które przez załe życie zbierały pieniądze, żeby mieć lokum, a trzy piętra (to była kamienica czteropiętrowa) były oddane dla studentów. Tam mieszkaliśmy do końca studiów. Po studiach musieliśmy znowu szukać mieszkania. Rodzice koleżanki ze studiów mieli duże mieszkanie i zagrożone to mieszkanie było przez Urząd Bezpieczeństwa i już na części tego mieszkania UB naklepił nalepki. Więc oni czymprędzej wynajęli nam to mieszkanie i tam przymieszaliśmy tam 30 lat. To było na rogu Kramarskiej i Maształarskiej.

Tutaj ciągle były procesy. m.in. proces "Cecyli". Skóra nam cierpła na grzbiecie. Głównymi oskarżonymi byli Łoziński, Subordowicz i Midwit. Wszyscy trzej zostali straceni. Ten proces odbywał się w Bydgoszczy. Głównymi oskarżycielami była: Jędrychowska, Sztachelska i Dziewicka. Te wszystkie wileńskie komunistki. Dodkładnie nie wiem co im zarzucano, bo to co gazety pisały to można podzielić przez sto i jeszcze prady się nie dowiedziało. To była zemsta komunistów za działalność ich na terenie Wilna, dlatego że konspiracja wileńska była penetrowana przez komunistów i oni bronili się, dużo wiedzieli i musieli usunąć ich. Jakoś tam byłem zaczepiony poprzez kontakty z panem Łozińskim i żyłem w ciągłym strachu, że to się wyda. Z początku nigdy mi do głowy nie przyszło, że mogę być z drugiej strony uderzony.

Skończyliśmy studia i z nakazu pracy zacząłem pracować w Zarządzie Okręgowym PGR Poznań-Zachód. To było w 1950 r. Już pod koniec studiów podjąłem tam pracę, bo nie mogłem utrzymywać się tylko z pomocy rodziny, tymbardziej, że teścia aresztowano pod zarzutem niegospodarności, rok odsiedział, a po roku go uniewinnili. To była zemsta Moczara za to, że teść nie chciał zapisać się do partii. Moczar był wtedy wojewodą olsztyńskim. Teść był wysunięty na kandydata na stanowisko architekta wojewódzkiego. Do tego stanowiska pretendowała również pani, która była później marszałkiem sejmu w PRL i Moczar ją pretendował na to stanowisko i chcąc usunąć kandydata, który miał więcej szans bo wtenczas fachowość się liczyła, tamta była tylko co po studiach architektonicznych, bez żadnej praktyki, a teść miał duży staż pracy, to był człowiek dojrzały, z wielkim doświadczeniem i dlatego wysunęli bzdurny zarzut niegospodarności. To był proces pokazowy, jak wymierzono mu wyrok 6 lat. Wychodził z sali rozpraw, robotnicy ustawili się na schodach od drugiego piętra po parter i jak teść wychodził to bili mu brawo i obrzucili teścia kwiatami. To była taka demonstracja. Po roku czasu został przez Sąd Njwyższy uniewinniony i wyszedł na wolność, ale już teściowa nie chciała mieszkać w Olsztynie. Teść został zmobilizowany i pod przymusem wysłany do Nowej Huty na budowie. Z Nowej Huty został przeniesiony na głównego inżyniera huty w Częstochowie, ale mieszkania nie dostał, tylko mieszkał w hotelu. Tam pracował jakiś czas.

Więc nie chcąc obciążać rodziny kosztami pomocy dla nas, podjąłem pracę w PGR-ach, a po skończeniu studiów zostało to powierzone przez nakaz pracy. Jak przyjmowali mnie do PGR-u, to zaczynałem wyczuwać jakąś atmosferę nieprzychylną wokół mojej osoby. To znaczy, że złożyłem podanie. To podanie długo leżało, dowiadywałem się czy jestem przyjęty do pracy, to było jakoś tak przeciągane, ale wreszcie przyjęto mnie. Później z kulis tej sprawy dowiedziałem się, że tam w tych PGR-ach pracowało 300 osób w administracji. Tam było dwóch personalnych: Klemens Wolniak, a drugi Czerwiński. Jeden i drugi byli UB-owcami. Wolniak musiał opuścić UB, bo jego ojciec był policjantem w Kazimierzu przed wojną, a ten Czerwiński nie wiem z jakiego powodu. Jak Wolniak poszedł na urlop, to Czerwiński mnie przyjął. Pracowałem w dziale planowania w sekcji analiz (właściwie jakie tam analizy były przeprowadzane to ja do dzisiaj nie wiem). Ale ta atmosfera ciągle była jakaś taka dziwna, czułem stan napięcia. Jak spotykałem się z tym Wolniakiem, to on tak niechętnie na mnie patrzył. Zresztą to był człowiek w ogóle mało życzliwy. UB-owiec z zamiłowania. On tam reżim trzymał. Przyłożył rękę do obniżenia poziomu tych PGR-ów. W PGR-ach kierownikami gospodarstw byli fachowcy przedwojenni, z wielkim stażem, doświadczeni i pewnego dnia zwolnił czterdziestu paru takich administratorów jako element niepewny, wrogi władzy ludowej. Na te wolne miejsca przyszli z awansu rzeźnicy, jacyś stolarze, czy też robotnicy, którzy nie mieli

pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa. Któregoś dnia do działu planowania przyszedł na kierownika Wolniak (poprzedni kierownik pan Majsner został powołany do ministerstwa do Warszawy). On w niedługim czasie tak to przeprowadził, że mnie przesunięto z działu planowania do działu inwestycyjnego. Zastanawiałem się dlaczego, przecież ja specjalizowałem się w ekonomice rolnej a dział planowania był po kierunku. Dopiero później zorientowałem się, że temu Wolniakowi do głowy przyszło po tych studiach UB-owskich, że dział planowania to jest serce przedsiębiorstwa - planowanie. Sądził, że ja mogę wynieść stamtąd jakieś straszliwe wiadomości i przekazać jakiemuś wrogowi Polski. Później z tego działu inwestycyjnego też mnie przeżucili i ostatecznie wyłądownałem w 1952 r. jako kierownik sekcji wynalazczości.

Tak doczekałem do kwietnia 1952 r. Rano wybierałem się do pracy, wstałem z łóżka, sąsiad zapukał do drzwi i powiedział, że do mnie jakis dwóch panów przyszło. Otworzyłem drzwi i wskoczyło dwóch panów, którzy machnęli mi legitymacjami przed nosem i powiedzieli, że oni są z UB i mają nakaz rewizji. To ja już wiedziałem, że to jest wpadka, że przychodzi ten najgorszy moment. W tym czasie gościli u nas teściowie. Bardzo skromnie żyliśmy, nie mieliśmy mebli, więc jak ktoś do nas przyjeżdżał to musialem spać na podłodze. Jak oni tam weszli to na podłodze leżało kilka kocy, jakiś płaszcz stary i oni to posłanie obejrżeli. Żona była w ciąży akurat, w czwartym miesiącu. Oni zrobili tę rewizję, zawołali sąsiadkę na świadka, ale nic nie znaleźli, bo ja nic w domu nie miałem. I powiedzieli, że muszę iść z nimi. Teściowa pyta, dlaczego go zabieracie, a oni na to "My na niedlugo, do wujaśnienia i za godzinę wróci". Teściowa powiedziała, że jej też męża zabrali na godzinę i po roku wrócił. Skojarzyłem to ze sprawą Łozińskiego i byłem przerażony, dlatego, że mogłem się jakoś wytłumaczyć, że w 1945 roku wierny przysiędze AK-owskiej, współpracowałem z AK, a później wyjechałem i zerwałem kontakty, ale nie mogłem wytłumaczyć, późniejszego spotkania z Łozińskimi przekazania tego jednego meldunku. Na wszelki wypadek pożegnałem się serdecznie z rodziną i poszedłem z nimi.

Zawieźli mnie na ul. Kochanowskiego. Tam nastąpiła tzw. obróbka więźnia, tj. sfotografowali mnie ze wszystkich stron, w czapce, bez czapki, z profilu i an fas. Tam było siodełko na takim jakby kieracie wysuniętym i on jak pociągnął wajchę, to to siodełko obracało się albo w lewo, albo w prawo i on robił to zdjęcie. Potem odciski palców lewej i prawej ręki i odcisk stopy. Po jakimś czasie wpakowano mnie znowu do samochodu i już inni konwojenci zawieźli mnie na ul. Młyńską do aresztu śledczego UB. Na przełomie lutego i marca 1952 r. został już zlikwidowany areszt na ul. 27 Grudnia. 27 kwietnia 1952 r. zostałem przewieziony na Młyńską do dyżurki. Ta dyżurka była między gmachem sądu a więzieniem. Dzisiaj też tam są te pomieszczenia, ale co tam dzisiaj jest to nie wiem.

Wprowadzono mnie do dyżurki, tam naturalnie rewizję mi zrobiono. Zabrano mi pasek, jakieś tam przedmioty, monety. Po tej rewizji przeprowadzono mnie na drugą stronę korytarza i wprowadzono mnie do pokoju. Okno było zakratowane, stało biurko przy oknie, a przy drzwiach stała szafa i krzesło i ja na tym krześle usiadłem. To było około godz. 11 rano. Ja tam siedziałem do godz. 8 wieczorem. Siedziałem tam bez jedzenia i nikt się mną przez ten czas nie interesował. Słyszałem tam jakieś kroki, od czasu do czasu ktoś przez judasza zaglądał i to było wszystko. O godz. 20.00 przyszedł jakiś szczupły facet i mnie zabrał na pierwsze piętro, kazał otworzyć bramę zakratowaną, która oddzielała korytarz. To już było więzienie. Z jednej strony cztery cele były i z drugiej też cztery cele. Wpuścił mnie do trzeciojej celi. Jak wszedłem, (tam były cztery osoby) i drzwi się za mną zamknęły, to od razu kroś zapytał za co pan aresztowany został?. "I czy będzie amnestia?" Ja byłem przerażony, ale przyjęli mnie tam życzliwie. Tamm był taki oddziałowy na pierwszym piętrze "Goryl" na niego mówili (miał takie spojrzenie ponure) nazywał się Jan Kański. Koledzy na niego mówili Jasiu, a więźniowie "Goryl" i on do mnie mówi "Eee zaraz koc jakiś dostaniesz, eee ale dziś pozamykane magazyny to położysz się z którymś i tak się prześpisz, a jutro dostaniesz". To już późno było, jeszcze trochę porozmawialiśmy, ale nic nie mówiłem. Na pytania za co tu jestem odpowiadałem - nie wiem.

Od tych współwięźniów słyszałem, że ten który mnie przyprowadził do celi to był Jan Młynarek, słynny Jan Młynarek. Powiedzieli mi., że o godz. 21.00 gaszą światło no i że zaraz będzie apel. Cella była pojedyncza, tzn. była jedna prycza, którą na noc przypinaliśmy łańcuchem do ściany. Wyposażenie celi to było szafka, stolik i cztery stolki. Okno wychodziło na pocztę główną, tam były wyburzone domy, tam był pusty plac. Na oknie były blindy założone, no ale jakaś szpareczka tam była przez którą można było zobaczyć fronton gmachu poczty. Pierwsza noc minęła, pobudka o godz. 6.00, śniadanie było chleb i kawa i o godz. 8.00 wzywają mnie.

Oddziałowy zaprowadził mnie dotakiego pokoju, którego okna wychodziły na ul. Młyńska. To był duży pokój, biurko, szafa pancerna, szafa i krzesło od biurka odstawione. Ten śledczy, wydaje mi się, że on był wtenczas w mundurze porucznika, bardzo grzecznie mówi do mnie "Proszę, soiadajcie na tym krześle, porozmawiamy". Zaczął tak: "Czy wiecie za co zostaliście zatrzymani?". Ja na to - nie wiem. "Jak to nie wiecie, przecież znacie swój życiorys, wiecie co robiliście i pewnie domyślacie się za co zostaliście zatrzymani". Ja mówię, że nie wiem za co zostałem zatrzymany, teraz dużo ludzi zatrzymują i nie wszyscy wiedzą za co. On na to mówi "nie bądźcie tacy fechowni, nie madrzcie się tutaj, bo doskonale wiecie i jeżeli będziecie mówili prawdę, przyznacie się do swojej działalności to naturalnie poprawicie swój los". Ja w dalszym ciągu mówiłem, że nie wiem. A on na to, że będzie spisywał protokół. On kazał opowiedzieć mi życiorys, powiedziałem ten życiorys i mówię, że repatriowałem się do wojska polskiego, odbyłem służbę, zostałem zdemobilizowany, studiowałem itd. I on na to, "Co chcecie żeby ja te lury

wam spisywał? Przecież wszystko to jest lipa co wy mówicie. Nam nie o to chodzi, macie mówić o waszej działalności konspiracyjnej". Ja nie mogłem nic powiedzieć, chciałem wyczuć co on wie. I w pewnym momencie on mnie zapytał w ten sposób: "A w AK byliście?". Ja na to nie, nie byłem. Więc on jak kot obszedł to biurko i z całej siły uderzył mnie kantem dłoni u nasady szyi. To jest miejsce bardzo wrażliwe, które paraliżuje człowieka. I mnie całego sparaliżowało. Zdrętwiałem cały, nie mogłem wymówić słowa, ani się poruszyć. On na to "A w Białymstoku to nie pracowaliście?". I wtedy zorientowałem się, że nie chodzi o sprawę Łozińskiego tylko o Białystok, tylko nie wiedziałem co oni wiedzą i musiałem przyznać się. Spisał protokół, że należałem do AK w Białymstoku. I na tym skończył. Odprowadzili mnie do celi. W celi współwięźniowie pytali mnie gdzie byłem, czy po prawej stronie czy po lewej na przesłuchaniu. Powiedziałem, że po lewej. A oni na to, że byłem na przesłuchaniu u kierownika śledztwa u "Krwawego Kazia". nazywał się Kazimierz Roźnowski.

On do dzisiejszego dnia prosperuje bardzo dobrze. W okresie PRL był radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze, a teraz tak jak słyszałem, jest dyrektorem jakiegoś przedsiębiorstwa. Przez nas przeciwko niemu była założone zeznanie w prokuraturze wojewódzkiej, która została zawieszona ze względu na jego zły stan zdrowia.

To było pierwsze przesłuchanie. Następnego dnia znowu zostałem wezwany na przesłuchanie. Zaprowadzono mnie na drugie piętro po prawej stronie i śledczym był Henryk Nojchajt - Żyd. On był dość wesołego usposobienia, bo pewnego dnia ja się mu przyglądałem, a on do mnie mówi "Co się mnie tak przyglądasz, czy ty nie poznajesz że ja jestem Krakowiak z Polesia?". Taki dowcip miał. I też od początku: życiorys, czy byłem w AK, u kogo byłem, takie wstępne badanie z wykrętnymi odpowiedziami moimi i po dwóch godzinach zwolnił mnie i do celi wróciłem. On miał około trzydziestu paru lat. Ten Roźnowski też był koło trzydziestki. Wtedy wyglądał tak ciemne włosy, kocie ruchy, głęboko osadzone zimne, bezwzględne niebieskie oczy, bez wyrazu.

Po paru dniach znowu wzywają mnie na śledztwo i znowu inny śledczy. On się nazywał Nowak. Też to samo, jakich znajomych miałem w konspiracji itd. więc mówiłem to co mogłem powiedzieć, to o czy oni wiedzieli. Ograniczałem się do tego, że prawie nic nie działałem tylko należałem. I zwolnił mnie do celi.

Następnego dnia zostałem zaprowadzony do Roźnowskiego i tam zobaczyłem siedzącego sierżanta. Był to potężnie zbudowany mężczyzna, o takim nieprzyjemnym wyrazie twarzy, taki ryżawy, o żółtych oczach. I Roźnowski znowu, życiorys, kiedy działałem w AK, ale ja w dalszym ciągu mówiłem, że nie działałem. Roźnowski zwolnił mnie do celi, ale ten Białystok raz został przez Roźnowskiego poruszony przy pierwszym przesłuchaniu i ja o tym pamiętałem.

Następnego dnia przyszedł po mnie ten ryżawy facet - Mieczysław Jercha. On rozpoczął śledztwo teraz. Życiorys, a później "Zapodajcie swoich wszystkich znajomych". Przy dwusetnym nazwisku, jak rznął to pióro i do mnie "Co wy głupka ze mnie robicie, czy co?", bo ja podałem wszystkich znajomych z gimnazjum, z pracy, ze studiów itd. omijając naturalnie te konkretne nazwiska.

Ten Jercha, (też w Poznaniu mieszka na Wichrowych Wzgórzach, prosperuje nieźle) to był typ brutalny, prymitywny i obskórny. To był typ prostaka, który miał swoje zalety, które musiały zwrócić uwagę UB na niego. Był niedouczoney, niedokształcony, pisał z błędami ortograficznymi i stylistycznymi. Okropny typ.

W pewnym momencie, to był punkt zwrotny dla mnie w tym śledztwie, bo on zerwał się i wrzasnął: "A Obory takiego nie znaliście?". Wtedy to ja już wiedziałem, że oni wiedzą, tylko nie wiedziałem czy Obora sypnął, czy oni wiedzą w jakiś inny sposób. Właściwie nie wiedziałem przez cały okres śledztwa tak kręciłem, że tak starałem się tyle odpowiadać, na tyle co on mnie ujawnił rąbka tego co oni wiedzą. Doszło do tego, że on mi pokazał mój meldunek co ja dla Obory pisałem. Więc wiedziałem już, że nia ma co się bronić, czy tam nie przyznawać do tego co robiłem, bo jak mi ten Jercha pokazał meldunek moją ręką napisany i podpisany "Zyga", to ja już wiedziałem, że oni mają dowody na to. To było w kilka dni po rozpoczęciu śledztwa. Te pierwsze dni śledztwa były bardzo intensywne, nie powiem żeby mnie bito ale brutalnie się ze mną obchodzono, tzn. wykręcał mi uszy, ciągnął za nos, deptał po palcach, szczypał, wyzywał wulgarnymi słowami najgorszymi, co po mnie splywało jak woda po gęsi, bo wiedziałem co to za typ jest, miotał się tam. On sam wpadał w trans, jakby chciał mnie moralnie zniszczyć. Ja to wszystko przetrzymywałem. Te przesłuchania trwały czasami dziesięć godzin i trzeba było siedzieć na twardym stolku albo pozwolił wyjść do ubikacji, albo nie, to zależało od jego nastroju. Powstrzymywanie swoich fizjologicznych czynności, też było męką, nawet dość znaczną, bo wtedy myśli koncentrowały się na tych czynnościach, a nie na tym żeby coś za dużo nie powiedzieć. I tak to trwało, on mi pokazywał te moje meldunki, a ja mu potwierdzałem. Raz bardziej krzykliwie, raz mniej. Ale prawie za każdym razem była ta furia jego, ciąganie mnie za uszy, czy włosy, ale ani razu mnie nie uderzył.

Jaki był prymitywny, to mogę podać dwa przykłady. Zerwano mnie w nocy. Mniej więcej śledztwo trwało od 8-12.00, potem był obiad, prowadzono do celi i o 1.00 prowadzono znowu i do 7,8.00 wieczorem, jeżeli mu się chciało siedzieć. Czasami było tak, że ja milczałem i on milczał. Czasami czyścił paznokcie, a ja siedziałem w kącie i starałem się odprężyć, później znowu: "Mówisz czy nie mówisz". I znowu jakieś zdanie napisał i znowu siedzieliśmy godzinę albo dwie. On dostawał takie karteczki od Roźnowskiego z pytaniami. Roźnowski czytał te protokoły, które on pisał i na tej podstawie pisał mu pytania. Jercha był taki wybijak, on chciał koniecznie wymusić

ode mnie odpowiedź na te pytania. Hak nie odpowiadałem mu, to brał następne pytania, ale później wracał do tego poprzedniego. I ten plan musiał być wypełniony. Jeżeli postawione było 6 pytań, a ja odpowiedziałem mu na 4, to on albo męczył mnie albo przekładał te pytania na następny dzień.

Ale jaki on był prymitywny to podam dwa przykłady. W nocy mnie zerwano i zaprowadzono mnie na śledztwo. On siedział tyłem do okna, a ja przy drzwiach na stolku siedziałem tak, że jak ktoś otwierał drzwi, to te drzwi zasłaniały tego przesłuchiwanego. On siedział przy biurku, puścił na mnie taką lampę biurową, i patrzy na mnie, patrzy, tym zwrokiem chce mnie przebić i mówi: "To ja ciebie poznaję, ty razem z Rygwajem koreańskie dzieci mordowałeś" (wtedy trwała wojna w Korei) To nazwisko oczywiście powiedział tak jak w gazecie napisane, a nie poprawnie po angielsku. Ja wybuchnąłem śmiechem, on był tak zdeprymowany tym, że ja się śmieję, że mnie wyrzucił do celi.

A drugi raz, dochodziło do scysji między nami, ja nie pamiętam o co dokładnie chodziło, ale on mówił tak ja inaczej, i w pewnym momencie on daje mi protokół do podpisania a ja mu mówię, że ja tego protokołu nie podpiszę bo tam są błędy ortograficzne. On na to "Jak tak, to nie potrzeba. Nie podpisuj". I skończyliśmy to śledztwo.

Czasami Jercha rozpoczynał takie prywatne rozmowy. co słycać u mojej rodziny, jak żyłem w Wilnie itd. Jemu też się nudziło, a może to było im potrzebne, no nie wiem, ale często na takie prywatne tematy chciał ze mną rozmawiać.

Bo właściwie to oni mieli dowody, chodziło im o to, żebym ja potwierdził tylko te dowody i to wystarczyło postawienia mnie przed sądem. Ale oni musieli wykazać się swoją intensywną pracą.

Jercha był obskurny taki. Zawsze miał brudne paznokcie, te paznokcie czyścił, ale czasami było tak, że on niekrępiąc się mnie spuszczał spodnie i drapał się po genitaliach. To było obrzydliwe. Czy on sobie nie zdawał sprawy, czy to umyślnie tak robił żeby mnie zgnębić tego nie wiem.

W każdym razie ja mu tego protokołu nie podpisałem, i po paru dniach przyszedł inny kierownik śledztwa (Rożnowskiego już zabrali). Jak ten brał na badanie więźnia to zapalał zawsze światełko czerwone na zewnątrz i każdy wiedział, że tam w środku jest przesłuchiwany. Ale w tym momencie jak ja tam siedziałem, w jednym przypadku on zapomniał zapalić to światełko. W pewnym momencie otworzyły się drzwi, które mnie przysłoniły, wszedł ten nowy kierownik śledztwa, który mówi: "Słuchaj, Jercha, naucz się po polsku pisać, bo znowu ci Borkowski protokołu nie podpisze". I zamknął drzwi. Jercha zrobił się purpurowy i od tego momentu jak dawał mi protokół do podpisania to mówił: "Popraw moje błędy ortograficzne i podpisz" protokół.

Ja tam siedziałem przeszło rok w śledztwie, to Jercha dostał awans ze st. sierżanta na chorążego.

Podczas któregoś śledztwa, dowiedziałem się, że brata też zamknęli. I po dwóch i pół tygodnia intensywnego śledztwa, przestali się mną interesować. Zabrali się z mojego brata. Brat tam więcej pisał meldunków i to bardziej znaczących. Brat był bardziej obciążony niż ja.

Z pierwszych dni pobytu w celi pamiętam dwa nazwiska: Ludwik Krestian - st. oogniomistrz artylerii dywizyjnej w Wilnie i drugi niejaki Władysław Kowaliński - partyjny, który siedział za sprawy gospodarcze. Ale po kilku dniach zostali gdzieś zabrani. I ja zostałem z tym Krestianem w celi. I on ciągle się mnie pytał: "Za co pan siedzisz", a ja na to, że za AK. On był po wyroku, a ludzie po wyroku w areszcie śledczym UB nie trzymało, to też było takie podejrzane mi, ale ja nie chcę go o nic posądzać. On opowiadał mi - to legionista był - całą służbę legionową, jako młody chłopak 15 letni zaciągnął się do legionów, miał krzyż Virtuti Militari, był internowany na Litwie w 1939 r., wywiezionu do Rosji, później został zwolniony po porzuceniu Majski-Sikorski, służył u Andersa, pod Monte Casino był ranny, wrócił do kraju. On był bardzo miły. Ja go też nie wypytywałem co on robił.

Robiąc kartotekę w Komisji Badania Zbrodni, znalazłem jego pozycję w repertorium. Stwierdziłem, że on był skazany na 9 lat z art. 86 & 22 tzn. nielegalna organizacja, która chciała siłą obalić ustrój państwa polskiego. To był bardzo popularny artykuł.

Jego któregoś dnia zabrali i zostałem sam w celi. Przez cały okres śledztwa, przez cały okres więzienia nie miałem uczucia głodu, mnie to starczało. Nie było to oczywiście wykwintne jedzenie.

Zaczęli obrabić brata, a mnie zostawili w spokoju. Ale w okresie jak ja chodziłem na śledztwo, to żyłem w ciągłym stanie napięcia, co znowu wyciągnie z rękawa Jercha, jakie zarzuty. Najgorsze to było to, jak zaczęli moje zeznania konfrontować z zeznaniami brata.

Brat miał bardzo ciężki zarzut. Ja pamiętam, że kiedyś pan Obora poprosił brata, żeby zrobił taką krótką charakterystykę ludzi pracujących w tej prokuraturze, tzn. jak się zachowuje, jaki to typ człowieka itp. Brat zrobił taki wykaz, podał kilka nazwisk, a dowiedział się chyba od pana Józefa Józefowicza, od zastępcy prokuratora i przy trzech nazwiskach napisał Żyd. I to na polowie jego życia zaważyło, bo przy jakichś awansach w pracy to zawsze to wylaziło i było brane pod uwagę. Mało tego, Obora pytał czy należało zlikwidować kogoś i brat przy kilku nazwiskach napisał "likwid.". Więc oni sprawdzali przez cały czas, czy ktoś został zlikwidowany, ale na szczęście nikt nie był zlikwidowany i to bratu uratowało życie. Nigdy nie robili mi żadnych konfrontacji z bratem. Mało tego, pod koniec nasze sprawy zostały rozdzielone.

Kiedyś zobaczyłem brata, bo kiedyś przerzucono mnie do innej celi, od ul. Młyńskiej, a tam od ul. Młufskiej było małe podworeczko i zobaczyłem jak brata wypuszczono kiedyś na spacer. Po tym intensywnym okresie śledztwa brata, znowu mnie wzięto na śledztwo. Pierwsze intensywne śledztwo miałem w maju, brat w czerwcu więc to mogło być w lipcu. Przez trzy dni zrobili mi taki tramwaj. Tzn. przez dwa dni i dwie noce bez przerwy śledztwo. Chodziło wtedy o osobę pana Józefowicza. Nie wiem w jakim momencie wylazło to nazwisko pana Józefowicza, ale w każdym razie chciano ode mnie wymusić, że ja go zwerbowałem do nielegalnej organizacji. Wtedy w prokuraturze ja byłem w stopniu st. sierżanta, a on był dorosłym człowiekiem, miał dorosłą córkę, i ja miałem go werbować, to przecież to była bzdura. Najbardziej gorliwym śledczym był Jercha, ale jak Jercha wychodził odpocząć to a ten drugi albo siedział, albo "zaczynajcie życiorys od początku". I pytał, co robiłem, o moich znajomych itd. I tak siedziałem na tym drewnianym stołku i musiałem te bzdury opowiadać. Z bratem im się nie udało, więc chcieli ode mnie usłyszeć czy ten pan Józefowicz był przez nas zwerbowany i koniecznie chcieli go tam umieścić jako tego wroga ludu. Nie bito mnie podczas tego śledztwa, ale to nie potrzeba bić, żeby wymusić zeznania. Wystarczy, że posadzą człowieka na tym dębowym stołku na którym są takie wrębki zrobione, taka tarka i posadzą na tym stołku. Po godzinie czuje się ogień w tylnej części ciała. Ogień, o niczym innym nie można myśleć, tylko o tym co się dzieje w tej tylnej części ciała. Zresztą to co mi pokazali, to ja potwierdziłem, nic więcej ponadto im nie powiedziałem. Cały czas utrzymywałem, że od demobilizacji nie miałem kontaktu z konspiracją. Już byłem zorientowany, że sprawa kontaktu z Łozińskim odpada. Za te tzw. "przestępstwa", które popełniliśmy w Wojsku Polskim groziła kara śmierci. Jercha cały czas mi to przypominał: "Główka szu..." tak pokazywał...

Żona dowiedziała się po paru miesiącach, gdzie ja siedzę. Przysyłała mi pieniądze na wypiskę, bo dowiedziała się, że jest kantyna i można z tej kantyny korzystać i korzystałem z kantyny. W październiku urodziła dziecko, które po kilku dniach zmarło. Miało rozczep kręgosłupa na skutek przeżyć matki. Po śmierci dziecka, na początku listopada napisała list do mnie, który został mi odczytany w wigilię Bożego Narodzenia 1952 r. Jercha mnie zawezwał i w wigilię, w prezencie odczytał list od żony z wiadomością o śmierci dziecka. To też była szykana pewnego rodzaju. "No i widzisz, zmarnowałeś rodzinę", taką gadkę ciągle powtarzał.

Ja dopuszczałem myśl, że grozi mi kara śmierci, ale nie dopuszczałem myśli, że będzie wykonana. Natomiast brat był przekonany, on był oficerem w stopniu porucznika, że dostanie najwyższy wymiar kary.

Więźniowie zmieniali się. Po jakimś czasie w mojej celi ulokowano pana Komendzińskiego, za sprawę harcerzy. To był taki krąg harcerski, który spotykał się od czasu do czasu i któryś z nich sypanął i zrobili z tego sprawę. Później bardzo oryginalnego takiego pana Prajsa wsadzili. On bardzo oryginalnie nosił się. Zimą chodził w takim olbrzymim kapeluszu z czarnym rondem. Wysoki, płaszcz do kostek, miał wąsy takie po 10 cm z każdej strony. A latem chodził bez kapelusza z zupełnie łysą głową. Wysoki, postawny mężczyzna. Wpuszczono go kiedyś do celi zupełnie nago i on był tak przerażony, że wskoczył w kąt i tak siedział. Po jakimś czasie uspokoił się i jakoś tak do mnie nabrał zaufania i zaczął opowiadać, że on jest studiuję i uprawia radża jogę i chata jogę, że on z zawodu jest konstruktorem inż. w Wiepofamie, a z zamiłowania to jest filozofem. I zawsze rano, jak była pobudka, to on wstawał na głowie, później siadał na stołku, podwijał nogi i ćwiczył oczy. Gałkami ocznymi tak przewracał, przy czym te długie wąsy mu się poruszały, że nas to rozśmieszało. Taki dziwak trochę. Było wesoło. Nie brano go na śledztwo i po jakimś czasie zaczął opowiadać za co stał aresztowany.

To było przed okresem któryś tam wyborów. On w tej Wiepofamie pracował i przyszła do niego taka ZMP-ówka i zaproponowała mu broszurę propagandową. On powiedział, że on nie potrzebuje, bo on do głosowania jest doskonale uświadomiony i on nie potrzebuje. A ona napierała, naciskała żeby on tę broszurę kupił, że jej zlecono, że każdy pracownik musi to kupić. A on na to, że jeżeli tak, to dał jej 2 złote kupił tą broszurkę, podarł i wrzucił do kosza. Wieczorem już u niego w domu było UB. Zrobili rewizję i znaleźli program restrukturyzacji i ulepszenia gospodarki w Polsce. To był program na dwa tysiące stron. On w tym dziele wyłożył swoje przekonania. Że on jest przekonany mickiewiczowskich, że Mickiewicz zostawił testament, że liczba 44 podstawiający litery to wychodzi CECH, że gospodarka polska musi być tak jak za Piasta oparta na CECH-u. Wtenczas będzie równowaga gospodarcza i dobrobyt. I na ten temat napisał całą rozprawę. Powołując się na to, że największa równowaga gospodarcza w Europie była przed I wojną światową. No i wzięto go tam na badania. Po trzech dniach wrócił z tego badania i siedział taki smutny. Pytam go czy go tam bili, a on na to nie, tylko zawieźli mnie do szpitala wariatów i badania przeprowadzali. On tam im wyłożył cały ten program. Podobno wszyscy słuchali, tam się zleciało z 15 tych śledczych, całą noc z otwartymi gębami jak to ma ta gospodarka na CECH-u wyglądać. Więc jak wysłuchali jego to zawieźli go na badania do szpitala psychiatrycznego. No i zaraz odprowadzono go do więzienia na Młyńską, UB już nie chciało mieć z nim do czynienia. Później jak mnie po rozprawie tam do tego więzienia odprowadzono, to słyszę wieczorem stentorowy głos pana Prajsa. Jego chcieli zwolnić, a on nie chciał wyjść, domagał się rozprawy. Któregoś dnia z celi wzięli paru ludzi do sprzątnięcia między innymi i jego. Zamiatali podwórko i strażnik wyjrzał przez okno i mówi: "Chodźcie Prajs zamieśćcie jeszcze tutaj przed bramą". Jak on wyszedł przed bramę to zamknęli bramę, rzeczy jego wystawili. Tak skończyła się sprawa Prajsa.

Pierwszy raz do sądu sprawa moja i brata wpłynęła 2 stycznia 1953 r. rzez całą jesień nie byłem brany na przesłuchania. Oni sprawdzali nasze zeznania, czy są prawdziwe. Brat omawiając te swoje meldunki, to jego pytali

skąd on to wiedział, bo u mnie to było jasne ja wiedziałem to wszystko z prokuratury, z dokumentów, a brat nie mógł powiedzieć, więc wymyślał fałszywe nazwiska i oni sprawdzali te nazwiska. Ale nie mógł podać z powietrza, bo sprawdzą i będzie jeszcze gorzej, ale brat podawał, nazwiska ludzi nieżyjących z kolei. Później na rozprawie to któryś prokurator powiedział "Broniliście się bardzo chytrze". Ale to sprawdzali. Nam dawali spokój. Od czasu do czasu tylko wzywali np. jak wynaleźli tego Józefowicza. Więc jak oni sprawdzali to ja siedziałem w celi. Ludzie się zmieniali, kogoś zabierali, ktoś przychodził, od czasu do czasu rewizje robili, ale miałem spokój.

Jesienią 1952 r. po południu, taka cisza była na oddziale siedziałem przy ścianie na stołku od strony okna i w pewnym momencie słyszę pukanie w ścianie. Po pewnym czasie nauczyliśmy się tego alfabetu morsa, i słyszę "Tadeusz Borkowski poszukuje swojego brata Zygmunta Borkowskiego". Ja od razu wystukałem, że ja siedzę tutaj, a brat siedział piętro nade mną. A brat siedział z panem Dąbrowskim, to jest syn rektora Dąbrowskiego. On był zaraz po wojnie rektorem tutaj, w tym okresie strajku studenckiego jego zdjęli ze stanowiska. Brat z jego synem siedział. Ten syn siedział dłużej niż my, był oblatany i jednocześnie pełnił rolę tzw. kalifaktora, tzn. te nieczystości wnosił w kublach do spluczki i wylewał na tamtym piętrze i on wystukał, że przyślą "konia". "Kofi" to jest na nitce obciążonej spuszczenie karteczki z informacją. No i kiedyś w niedzielę naszą celę wziął oddziałowy do sprzątnięcia pokoi śledczych. W jednym pokoju były rozrzucone papiery i w kącie znalazłem ołówek, który zabrałem ze sobą. W celi nie można było mieć noża, ale chleb trzeba było jakoś pokroić. W kantynie sprzedawali konserwy. Tę konserwę otwierało się tak, że kładło się na betonowej podłodze i tak głucho się szorowało, aż się ta puszka przetarła i odpadało denko. I to denko zginało się dwa razy i to był nóż. Ten nóż, to żeby nie znaleźli to jeden drugiego podsadzał i kładło się pod samym sufitem na klosz. Ja jak ten ołówek przyniosłem do celi to pokroiłem go na 5 kawałków. Trzy kawałki rozdałem współwięźniom a sobie te dwa kawałki zostawiłem. Schowałem je do obcasu w butach. Wieczorem pukali, "konia" spóścili i tam o sprawie nic nie pisaliśmy, tylko tam takie jak się czujesz... Ale UB-ekom nie podobała się zażyłość z tym Dąbrowskim i brata mego przeżucili na drugą stronę. Jan Dąbrowski przestukał mi, że brat został przeniesiony, ale, że ja przez niego mogę kontakt z nim utrzymywać bo on ma taką możliwość. Jak wylał ten kibel, to tam włożył mój list i brat w ten sposób miał kontakt ze mną. Ale na nieszczęście w celi brata siedział kapuś, który poszedł i za paczkę papierosów zakapował, że my się kontaktujemy z bratem. Tej samej nocy zrobiono kipisz. Wyprowadzono nas z celi, wytrząsano sienniki, u nas nic nie znaleźli. Poszli na górę, my już się położyliśmy i słyszymy krzyki "Oddaj to, oddaj to" i jakieś uderzenia, razy, krzyk tam było słychać na górze i po pewnym czasie zrobiła się cisza i wyprowadzono tego Dąbrowskiego. Ten cały kipisz prowadził Młynarek. Po paru dniach jak już sprawa uspokoiła się to przyszedł inny naczelnik aresztu i robili spis inwentarza. A Młynarek znikł. Jak się później dowiedzieliśmy, że w celi u Jana Dąbrowskiego, znaleźli lewy list z wolności od żony, i włos angielski do przepiłowywania krat. Jak to znaleźli to wybuchła awantura. I zaczęli dochodzić jakim cudem Dąbrowski posiada te rzeczy. Okazyje się, że żona pana Dąbrowskiego skontaktowała się z Heniem "Gwizdkiem", my go tak nazywaliśmy, to był oddziałowy Heniu "Gwizdek", bo on chodził i gwizdał. On nic nie mówił tylko pokazywał i gwizdał, i przez niego podała panu Dąbrowskiemu ten lis. Oczywiście został natychmiast zwolniony i później w więzieniu karno-śledczym na Młyńskiej z nim się spotkałem, ale nie chciał nic mówić na ten temat. Został ukarany za kontaktowanie się z więźniami.

Tak jak już wspominałem, pierwszy raz nasza sprawa wpłynęła do sądu w styczniu 1953 r. Adnotacja w pepertorium jest taka, że "zwrócono do uzupełnienia śledztwa". Tzn. z powrotem wróciła do UB. Ja nie wiem co oni tam robili, bo mnie nie przesłuchiwali już.

Ja się pytałem kiedyś pana Prejsa, czy on z niemieckiej rodziny nie pochodzi, a on na to, że on pochodzi z czysto polskiej rodziny. I mówi do mnie Prejs niech pan wspaniał przeczyta - sierp- to jest czysto polskie nazwisko i chłopskie. On mówił mi, że on pochodzi z pod Margonina i jego rodowe nazwisko to jest Pierdzioch. Siostry jego nie mogły wyjść za mąż, bo wszyscy się śmieli z tego nazwiska. Prosił ojca, żeby zmienił nazwisko, ale ojciec nie chciał, bo to jest rodowe nazwisko i nie chciał zmienić. Ale podczas zaboru pruskiego, nie można było przyjąć nazwiska o brzmieniu polskim, tylko niemieckim więc oni przyjęli Prejs a odwrotnie sierp. Taka była historia pana Prejsa.

Młynarek to już nie był ten sam Młynarek, który wslawił się brutalnością na 27 Grudnia. Opowiadał mi Krestian, który siedział od 1951 r. w karno-śledczym więzieniu na 27 Grudnia, że Młynarek razem z Kaziem Rożnowskim, brali psa, to Młynarka był pies taki wilczur, chodził w nocy po celach i jak ktoś źle zameldował do szczuli tym psem, bili, maltretowali więźniów. W każdym razie Rożnowski zasłużył sobie na miano "Krwawego Kazia".

W każdym razie Młynarek znikł, a przyszedł nowy kierownik śledztwa o akcencie wschodnim, ruskim akcencie. Do celi wchodził i miał w ręce szprychę. Tą szprychą, gdzie była jakaś dziurka, to tą szprychą to wydłubywał. Czasami była ta dziurka większa, że można było papierosa z celi do celi przepchnąć i oczywiście jak to było znalezione, to zaraz zamuroywali, ale on jak znalazł taką dziurkę, to tą szprychę tam pakował i mówił: "Ot, intierosno, kto ta dziurka zrobił". To był okrutny człowiek, reżim tam straszny wprowadził nie można było głośno rozmawiać w celach w dzień, były cztery stołki to dwa zabrał, nie można było przysiąść na łóżku. Sprowadził tam takiego młodego oddziałowego na miejsce Henia "Gwizdka", który był paskud pierwszej wody. On szykanował więźniów w ten sposób, że obok w celi siedziały 4 kobiety. On je podglądał jak swoje czynności załatwiały, w

nocy podchodził do ich celi i co chwilę zapalał światło i gasił. One dostawały tam hysterii, krzyczały: "zgas to światło ty paskudzie", a on śmiał się i w dalszym ciągu robił swoje.

Starszym oddziałowym był tam plutonowy, którego nazywali "Alosza". On dobrze po polsku mówił, tylko z takim akcentem wschodnim.

Naczelnik był niskiego wzrostu, zadarty nos do góry, krępej budowy typ ruskiego NKWD-zisty. Około 30 lat. On był specjalistą, wiedział jak ludziom utrudnić życie. Kiedyś ukląknął przy ścianie i zacząłem się modlić i (wpierw chodzili normalnie, a później jak on przyszedł to dali im takie łapcie filcowe, żeby mogli się przesuwac bezszelestnie) on wpadł do tej celi i do mnie: "Sztó wy robicie" ja mu na to "modłę się", a on "Boga nie ma", ja mu na to jak dla kogo, dla mnie jest a on na to "O, ty stary prowokator, ja dostanę ciebie". Ale nic nie było z tego, tylko takie pogróżki.

Drugi raz nasze akta zostały przesłane do sądu w kwietniu i też zostały zwrócone dla poprawienia kwalifikacji prawnych i uzupełnienia śledztwa. W pierwszym wypadku przysłania akt do sądu byliśmy oskarżeni z art. 7 Dekretu z 13 czerwca 1946 r. To jest najgorszy artykuł jaki może być - szpiegostwo. Drugi raz też inne artykuły były dodane 86 & 22, ale też był 7 art. szpiegostwo to też zostało cofnięte.

Trzeci raz pod koniec kwietnia wpłynęła sprawa, ale to już były inne artykuły: ja miałem 90 art. kkWP, 86 & 2 kk i 27 kkWP. Brat miał więcej, ale już nie pamiętam. 90 art. to jest zdrada stanu, nie podlega żadnej amnestii, 86 & 2 to jest przynależenie do nielegalnego związku, który ma na celu siłą obalenie ustroju państwa polskiego, a 27 przygotowywanie zamachu na życie przedstawicieli władzy. W czasie śledztwa bardzo mnie męczono, czy ja brałem udział w tym spisie do likwidacji, który brat przedstawił. Ja chcąc odciążyć brata, bo wiedziałem że brat ma bardzo dużo zarzutów, w pewnym momencie powiedziałem, że ja też uczestniczyłem w tym spisie. Z tych wszystkich artykułów groził nam najwzższy wymiar kary.

Po pierwszych dniach maja zostałem przeniesiony z karno-śledczego więzienia UB, do więzienia na Młyńską. Wychodząc z tego więzienia śledczego UB (już nie było tego naczelnika ruskiego, został odwołany, nie wiem dlaczego, obojązki tego naczelnika pełnił oddziałowy "Alosza" - on nie był okrutny) "Alosza" mówi do mnie, "słuchajcie Borkowski, ja wiem, że wy macie ołówek. Pokażcie gdzie go trzymacie". Ja mówię, "O, nie, to jest tajemnica więźnia" i ten ołówek wyniosłem z tymi butami.

Jak u tego Dąbrowskiego znaleźli ten lis i tą piłkę, to przez długi czas w naszej celi robili kipsisz regularnie co tydzień. Wysypywali sienniki na podłogę, tam w tych siennikach już nie było słomy, tylko takie wiórki, straszny kurz był jak musieliśmy to z powrotem wkładać, szczypało w oczy i drapało w gardle, przeszukiwali odzież, sprawdzali dokładnie wszystkie szwy w ubraniach. Ale nigdy nic nie znaleźli i później zaniechali tego.

Przed przeniesieniem mnie na to ogólne więzienie, zawezwał mnie Jercha i dał mi do przejrzania moje akta już skompletowane. Miałem możliwość przejrzania wszystkich protokółów, wszystkich dowodów rzeczowych i tam dopiero zorientowałem się, że nic nie powiedziałem poza to, co oni wiedzieli. Po podpisaniu protokołu przejrzania akt, śledztwo zostało zakończone. Doręczono mi akt oskarżenia, który w fatalnej polszczyźnie stylizycznej i ortograficznej napisał Jercha i na 22 maja została wyznaczona rozprawa.

Uzupełnienie do relacji o pobycie na Młyńskiej.

Pierwsza sprawa to jest karcer. Ja w tym karcerze nie byłem, ale słyszałem od więźniów, którzy tam byli, że to była taka jama do zsywywania węgla. Tam urządzono karzec. Tam w tym karcu zamknięci więźniowie dla zmiękczenia ich postawy, brodzili po kostki w mazi z pyłu węglowego i ekstrementów, a gdy tylko przysiedli na chwilę to włożyły szczury. Więc tam dostawali szału. Po odsiedzeniu tam kilkunastu godzin w takim karcru, to taki więzień był o wiele miększy. Ten karcer jak ja siedziałem podobno funkcjonował. Ja nie miałem do czynienia z więźniami, którzy tam siedzieli, ale to co słyszałem, to podobno funkcjonował.

Druga sprawa, to dzień śmierci Stalina. Rano, to był mglisty dzień 6 marca 1953 wyprowadzana nas na spacer schodami. Okna na klatce schodowej pomalowane były do połowy na białą farbą, a u góry była wolna przestrzeń. Ja wychodząc na spacer rzuciłem okiem na fronton poczty i zobaczyłem olbrzymi portret w czarnej obwódce. Więc domyśliłem się, że ktoś z wielkich ludzi zmarł, ale nie wiedziałem kto. Bardzomnie to intrygowało. Po 15 minutach wróciliśmy do celi, ale już to okno było zamknięte i zamalowane i ja nie mogłem zobaczyć tego portretu drugi raz. To był okres tego reżimu więziennego, za czasów ruskiego naczelnika, i ci strażnicy cały czas w tych łapciach się poruszali bezszelestnie i pilnowali nas. Ale jak ktoś stanął przy drzwiach i ucho przyłożył do drzwi, to słycać było jak się ten strażnik przesuwają. Jak strażnik minął naszą celę, to ja szybko stołek przystawiłem, podciągnąłem się na kraty i zatkało mnie: olbrzymi portret Stalina w czarnych ramach, już wiedziałem, że Stalin zmarł. Szał radości mnie ogarnął, zeskoczyłem z tego stołka i puściłem się w jakiś dziki taniec. Powiedziałem im, że Stalin zmarł i wszyscy się ucieszyliśmy, bo wiedzieliśmy, że śmierć Stalina wcześniej czy później spowoduje jakieś zmiany. To są moje domniemania i moje odczucia, że ta śmierć Stalina także uratowała nam, może nie głowy, ale dużo nerwów i cierpień.

Mnie przenieśli na Młyńską, a brata zostawili do sprawy w areszcie karno-śledczym UB aż do sprawy. Być może dlatego, żebyśmy się nie kontaktowali, bo na Młyńskiej był większy luz, większa swoboda, większa możliwość porozumienia się: czy to w łaźni, czy to na korytarzu, czy u fryzjera.

Wyżywienie było to samo, bo kuchnia była wspólna, ale warunki były lepsze, bo na podłodze nie było betonu, były deski drewniane, cele były większe, okno było nisko osadzone i tak, że można było popatrzeć przez szpary na ul. Młyńska. Dla więźnia to była atrakcja patrzeć jak ludzie spacerują po ulicy. Człowiek zamknięty zmienia swoją psychikę i swoją mentalność. Zupełnie innymi kategoriami myśli. Z moich obserwacji to człowiek w więzieniu patrzy uszami a słucha oczami - odwrotnie. Dlaczego oczami, bo jak nie wolno rozmawiać, i zobaczy się z jakimś więźniem, to ruchy warg oczami wychwytuje co ten człowiek mówi. Zobaczenie człowieka na wolności, i popatrzenie jak ludzie na wolności żyją to była atrakcja. To była wiosna, to był koniec kwietnia czy początek maja, drzewa wszystkie były w rozkwicie. Tutaj od wiosny 1952 r. do wiosny 1953 r. nie widziałem nic zielonego, żadnego drzewa, listka. Na drugi dzień zawezwano mnie do fryzjera. Fryzjer siedział przy oknie, wielkim oknie, nie zamalowanym wychodzącym na Młyńską. Dzisiaj ten szczyt tego budynku jest zabudowany gmachem więziennym. Jak podeszedłem do tego okna to też oczarowany zostałem, kasztany kwitną, na przeciwko jest kościół Karmelitów, wszystko w zieleni. Zupełnie inny świat. Ogarnęła mnie radość i smutek zarazem, że człowiek nie może z tego korzystać. Zostałem wpuszczony do celi, było nas 6. Dwóch tylko zapamiętałem: pan Bładowski i drugi fryzjer, który tam strzygł i golił na tym oddziale i on się nazywał Zenon Dobrowowski. Pan Bładowski był spekulantem. Miał swój domek w Suchym Lesie, a Dobrowowski był kolejarzem. Od razu mi podpadło to, że on jest fryzjerem. W tamtych czasach na takie funkcje jak kucharz, czy fryzjer to trzeba było sobie zasłużyć, tam nie brali byle kogo, a on pół dnia machał sobie brzytwą i strzygł maszynką włosy, miał kontakt z ludźmi. Nie stwierdziłem czy on na mnie coś powiedział, czy doniósł, ale wołałem być ostrożny. Inne fakty, które później nastąpiły potwierdzały to, że on jednak jakieś tam usługi świadczył. Nie chce nic mówić więcej na jego temat, bo on już nie żyje. Później na wolności spotykałem go, ale to z daleka.

On nawet w parę miesięcy po wyjściu z więzienia spotkaliśmy się i on mówi: "No panie Borkowski co było to było zapomnijmy, teraz zaczynamy nowe życie". On w stosunku do mnie czuł się winny, ja tego nie podnosiłem, pożegnaliśmy się i tak się skończyło.

Po paru dniach siedzenia w tym więzieniu wezwano mnie do pokoju widzeń. Tam się ze mną spotkał mój adwokat mec. Edmund Kolečki, który miał prawo występowania w sądach wojskowych. Naturalnie rozmowa, czy widziałem akta, czy ja to potwierdzam, ja mówię że tak i tak konfidencjonalnie powiedział, że na rozprawę rodzina sprowadzi księdza. To mnie bardzo poruszyło, bo ja się nie spodziewałem, że ten wyrok może być tak wysoko ferewany. To raz jedyny miałem z nim kontakt.

Zostało mi w pamięci, że jak wychodziliśmy na spacer na takie podwórko, to z jednej strony była ściana więzienia, a z drugiej była ściana sądów na ul. Solnej. Tam był taki chodnik ułożony, w kształcie prostokąta, a w środku tego prostokąta była zasiana koniczyna. Ta koniczyna kwitła i unosił się wspaniały zapach miodu.

Przyszedł ten dzień 22 maja, ogolono mnie, ostrzyżono i wsadzono mnie do samochodu. Jak siedziałem w więzieniu to bardzo wypadły mi zęby, byłem szczerbaty. Jeżeli chodzi o inne choroby, to w okresie śledztwa nabawiłem się skurczu napadowego mając 33 lata, byłem w pełni sił, i wrzodu na dwunastnicy. Żadnej pomocy nie zgłaszałem nie uzyskiwałem, bo właściwie do nikogo nie można było się zwrócić. Obok mnie, ojciec mojego kolegi zmarł na zawał serca i dopiero wynieśli go jako trupa. Słyszeliśmy jak go chcieli ratować, przyszedł jakiś lekarz ze szpitala więziennego, ale to już było za późno. W areszcie śledczym, to rok casu mało kto siedział. Śledztwo odbywało się miesiąc czasu, dwa tygodnie i rozprawa i przeniesienie na Młyńską. Tam już była wypiska, zresztą tu też była wypiska i można było jakoś te witaminy uzupełnić. Zresztą tam były dwa lekarstwa krople na serce i krople na żołądek. Jeżeli ktoś narzekał, że go boli serce, albo żołądek to krzyczało się przez drzwi, że zasłabł więzień i wzywali pomocy. To dawali kropelki i sprawa załatwiona.

Kontakt z rodziną nie miałem żadnego, poza tym jednym listem od żony, który został mi odczytany. Adwokat jeszcze zapytał się co ja bym chciał do jedzenia, bo rodzina chciała mi uprzyjemnić chociaż trochę te chwile w sądzie.

Zawieźli mnie na ul. Kochanowskiego. Ten sąd odbywał się nie w gmachu wojewódzkiego urzędu bezpieczeństwa, ale trochę bliżej ul. Dąbrowskiego. Od tamtego czasu ja omijam tę ulicę. To był lokal mieszkalny. Jak mnie tam przywieźli, rodzina do mnie podeszła, pozwolono rodzinie podejść do mnie, zorientowałem się, że brat już tu jest. Na rozprawę zostało wezwanych dwóch świadków. Jednym świadkiem był pan Jan Obora, który został sprowadzony, bo on już w więzieniu siedział, a drugim świadkiem był kolega i przyjaciel mojego brata pan Bogdan Rudnicki, którego właściwie nie wiadomo dlaczego sprowadzili. On na rozprawie w ogóle nie był przez sąd wzywany. On odbywał wyrok we Wronkach wyrok dożywocia. W 1948 r. dostał wyrok kary śmierci z zamianą na dożywocie. W jakiś tam zeznaniach brata wyszło nazwisko tego pana Rudnickiego, nie wiem w jakich okolicznościach. Dla niego to była wielka atrakcja. Po 4 latach siedzenia w więzieniu raptem go wyciągają, elegancko ubierają w nowy mundur, pakują go do pociągu, przyjeżdża do Poznania. Ponieważ moja rodzina doskonale go znała, to został nakarmiony różnymi smakołykami i napojony i był bardzo zadowolony. Po rozprawie znowu wyjechał do więzienia. W Tygodniku Katolickim w Warszawie napisał nawet o tym, jaką to było wielką atrakcją ten wyjazd do Poznania. Dowiedziałem się później też, że moja żona poprosiła jednego z Ojców Dominikanów, żeby przyszedł. Ten ojciec przyszedł i był w tej sali tam gdzie rodzina siedziała. Brat miał mieć pierwszy rozprawę, bo nas rozdzielili, tam już Jercha pilnował tego wszystkiego. Jak mój brat wszedł do tej sali, przywitał się z

rodziną, to ten ojciec też rzucił się na brata z uściskami i wcisnął mu wiatyk do ust. Brat zorientował się. I później też nie wiedząc kto to jest ten pan Rudnicki, który siedział w końcu tego pomieszczenia i jemu też rzucił się na szyję, ale Jercha w tym momencie chwycił tego ojca i wyprowadził go i ten ojciec miał jakieś nieprzyjemności. Podobno był sprawdzany, dlaczego przyszedł itd. A mnie już niestety nie udzielił tego, nie zdążył.

Rozprawa brata trwała może godzinę, półtora. Na rozprawie u brata też był pan Obora. I tam dowiedzieliśmy się, bo jak Jercha wyprowadzał tego ojca, to pan Obora przysiadł się do brata i powiedział jak to się odbyło, dlaczego my zostaliśmy aresztowani. W 1947 r. pan Obora skorzystał z tej możliwości ujawniania się i się ujawnił. Nas nie ujawnił. On został zwolniony w 1947 r. i wraz z żoną wyjechał z Białegostoku do Szklarskiej Poręby i tam prowadzili pensjonat. Ale ten pensjonat służył jako etap do przerzutu na Zachód. W dalszym ciągu konspirował. Później zostało zagrożone archiwum Białegostoku i postanowiono przewieźć to archiwum w inne miejsce. I jeden zaufany człowiek niósł to archiwum w takiej walizce wieczorem na jakieś miejsce. W jakimś tam załamaniu muru, zaczął się milicjant, który czatował na handlarzy mięsem. Jak ten tą walizkę niósł, to temu wydało się podejrzane i myślał, że tam jest mięso. Zatrzymał go i kazał to otworzyć. Oborę aresztowali, miał rozprawę i dostał 6 lat. Dlatego sześć lat, że on część ujawnił, nie ujawnił wszystkiego i za to że nie ujawnił wszystkiego, to dostał wyrok 6 lat więzienia.

Później ja miałem rozprawę. Moja rozprawa trwała pół godziny. Na rozprawie wyparłem się tego zarzutu, że brałem udział w tym spisie do likwidacji. Powiedziałem, że ja tego nie zrobiłem. Zapytali mnie dlaczego ja w śledztwie tak powiedziałem. To powiedziałem, że to zeznanie na mnie wymuszono, że zrobili mi tramwaj, że zmuszano mnie do stania przez 12 godzin i dla świętego spokoju się przyznałem. Sąd zapytał mnie czy byłem bity, a ja na to, że tak przez Kazimierza Rożnowskiego i sąd kazał to zaprotokółować. Przewodniczącym sądu był Dionizy Piotrowski. Żadnego śladu jak teraz przeglądałem swoje akta w celu unieważnienia wyroku, nie ma, że ja to powiedziałem. W każdym razie w sentencji wyroku jest to zaznaczone, że odwołał zeznania. Na rozprawie adwokat właściwie nic nie powiedział. Sąd zapytał czy ja żałuję, a ja nic nie odpowiedziałem. Na mojej rozprawie już Obora nie występował. Po rozprawie pozwolili mi jeszcze z rodziną porozmawiać i odwieźli mnie na Młyńską.

Na drugi dzień przywieziono mnie na salę rozpraw i wprowadzono mnie i brata i odczytano nam wyroki. Najpierw bratu odczytali wyrok, a później mnie. Wielka ulga, brat dostał 15 lat a ja 12. To była wielka ulga, że nie jest to najwyższy wyrok kary śmierci. Po rozprawie to Jercha powiedział mi tak "Tak ciebie lekko traktowałem, a ty takie świństwo nam zrobiliś". I znowu przywieziono mnie na Młyńską. Następnego dnia rano otwierają się drzwi i do mojej celi wprowadzili brata. Siedliśmy sobie w kąci i rozmawialiśmy ze sobą. I wtedy opowiedział mi co mu pan Obora zdążył powiedzieć. Brat przesiedział jeden dzień i jedną noc w mojej celi i po południu wrócił do celi pan Dobrowowski i mam wrażenie, że jeszcze chcieli się coś dowiedzieć, czy my będziemy komentować tę sprawę czy nie, a my nic nie rozmawialiśmy na temat sprawy. Następnego dnia rano brata zabrano do innej celi. Tak na tej Młyńskiej siedzieliśmy do 7 lipca. Jeszcze w czerwcu po rozprawie żona uzyskała zgodę na widzenie i brat też, bo moi rodzice już nie żyli. Z bratem doszliśmy do wniosku, że mieliśmy duże szczęście: raz, że sprawa odbyła się w Poznaniu a nie w Białymstoku, a właściwie powinna była, bo na terenie Białegostoku popełnione było przestępstwo, dwa że to było w 7 lat potem a nie wcześniej, i trzy że to było po śmierci Stalina.

Po południu 7 lipca kazano nam zabrać swoje rzeczy z celi i wprowadzono nas do takiego małego pokoiku i gromadzono nas do transportu do więzienia karnego. Stamtąd pamiętam pana Sypniewskiego, który też do związku więźniów politycznych należy tutaj w Poznaniu, tego Dobrowowskiego też zabrali stamtąd, chociaż niechętnie stamtąd wyjeżdżał, bo mając tę funkcję fryzjera bardzo dobrze mu się tam żyło, no i dołączono do nas w ostatniej chwili Francuza pana Żan Pastarda. On był zamieszany w procesie podpalenia stoczni. To był agent wywiady francuskiego, komandor marynarki francuskiej, żołnierz eskadry Normandi Niemen, zestrzelony pod Wilnem, uciekł z niewoli niemieckiej, pod Toruniem ożeniony z Polką, jako rezydent urzędował w Gdańsku, a w Elblągu w tej stoczni pracował jako ślusarz. Mało tego jeszcze jak on opowiadał, że jak dojeżdżał z Gdańska do Elbląga raz w tygodniu własnym samochodem. To podpadało, bo w tamtych czasach, robotnik własnym samochodem, miał własne mieszkanie w Gdańsku, to jakoś to nie pasowało. I powiedział, że jak spłonęła ta stocznia, nikt tego nie podpalił, tylko jakieś niedbalstwo tam było, to zrobili z tego wielki proces polityczny i jego też tam wciągnęli. On nic nie zrobił, ale go tam wciągnęli w tę sprawę. On siedział od 1948 r. z wyrokiem kary śmierci. Jego przerzucano, nie wiadomo dlaczego, może żeby nie kontaktował się, z więzienia do więzienia. Siedział w Gdańsku, Bydgoszczy, Toruniu, Grudziądzu i ostatecznie tutaj wylądował w Urzędzie Bezpieczeństwa sam siedział w celi.

Sprowadzono nas na podwórko ze 30 osób, zapakowano nas tam do tej czarnej suki więziennej i zaczął się nowy etap - pobyt w więzieniu. Nie wiedzieliśmy gdzie nas wiozą, ale po odgłosach miasta zorientowałem się, że jedziemy w kierunku Szamotuł, no to wiedziałem, że do Wronek nas wiozą. Dostyc późno nas wywozili, tak że jak przyjechaliśmy to już był zmrok. Słyszeliśmy jak się otwiera brama, wjechaliśmy na podwórko i kazali nam wyjść.

Tam pierwsze wrażenie okropne. To więzienie wywarło na nas wrażenie jak pustelnia palmejska. Olbrzymia wieża, maleńkie drzwiczki, wprowadzono nas do takiej długiej sieni sklepionej tak łukowato i tam zaczął się inny świat. Zaczęły się pokrzykiwania, popychania. Kazano nam się rozebrać do naga, rzeczy wszystkie złożyć, ktoś

tam miał jakiś papier toaletowy, swoje listy prywatne, jakieś swoje osobiste rzeczy, wszystko zostało nam odebrano. Przy tej rewizji zagłądano wszędzie. Kazano stanąć w rozkroku, nachylić się i tam taki jeden pałeczką grzebał w odbycie, przecież to bolało okropnie, pakował tam bez żadnej delikatności. To już były te pierwsze szykany tego więzienia. Zimno tam było, chociaż to był lipiec ale tam był piwniczny chłód. Zauważyłem tylko, że ci oddziałowi ustawiają się, takie schody odchodzą ażurowe, na ten podest pierwszy, na którym wisiała ambona, na której siedział komendant, że ci oddziałowi ustawiają się, zdejmują pasy, na te pasy nanizują takie klucze olbrzymie od cel. Przyjmował nas nie naczelnik Jakubowski, ale jego zastępca Kazimierz Grabowski. On w pewnym momencie mówi "Dajcie spokój", więc tylko wrzask, zabierać rzeczy, tylko cicho biegiem po schodach do góry. Nadzy biegliśmy po schodach. Tam stał oddziałowy i tylko odliczał do sześciu i trach drzwi i następna szóstka i trach drzwi. Oczywiście te rzeczy, które oni nam dali trzymaliśmy w rękę. Tak się złożyło, że wskoczyliśmy do celi ja brat i ten Francus, który mówił po polsku, ale znaleźliśmy francuski i mogliśmy się z nim pofrozumieć. Przyniesiono nam koce i powiedzieli, że prześcieradła dostaniemy na drugi dzień i tylko cicho i byliśmy już więźniami wronkowskimi.

W tym okresie jeszcze panował ten straszny reżim wronkowski. Muszę opowiedzieć o tej strasznej historii, o której później dowiedziałem się od więźniów. Więc w historii Wronek były trzy etapy. Pierwszy etap to był 1945 r. do 1948 r., gdzie jeszcze byli strażnicy starzy, przedwojenni. Tacy jak pan Batura, owszem każde więzienie jest wielkim przeżyciem, to jest inny świat. Jak ludzkość duża i szeroka, to zawsze ludzkość karała więzieniem, ale ten okres można było porównać do sanatorium. To były warunki do zniesienia.

Od 1948 r. do 1953 r. to było straszne więzienie. To był najgorszy okres. Było najwięcej ofiar, najwięcej samobójstw sfingowanych, czy autentycznych i największe ofiary były poniesione, największych cierpień ludzie doznawali, najwięcej choroby się szerzyła. Reżim był taki, że od godziny (w ogóle nie można było głośno rozmawiać w celach) 6 wieczorem jak był tzw. apel, jak uderzył ten gong na tym "Placu Wolność" tak zwanym, to znaczy tam gdzie przy tej dyzurce, to nie można było w ogóle rozmawiać. To też jest dodatkowe ograniczenie wolności, bo nawet nie można porozumieć się z tym swoim towarzyszem niedoli, nie można nawet wymienić jakiś myśli. Ludzie kładli się obok siebie, a były takie okresy w tym więzieniu, że w jednej pojedynczej celi, bo to całe więzienie wronkowskie, było zbudowane w ten sposób, że były wszystkie cele pojedyncze. Były owszem cele tzw. karne, to były 3-4 m długie i 1,2 m szerokie, gdzie na psychikę człowieka fatalnie to działało i tam ludzie bardzo się męczyli, ale w tej celi pojedynczej siedziało po 8 osób. Więc kładło się pokotem i ten ostatni leżał z głową przy kiblu. Przy tym śmierdzącym kubku. To było straszne, nie można było rozmawiać, nie można było poruszać się. Za najmniejsze wykroczenie, tzn. jeżeli ktoś coś głośniej powiedział, czy zaśmiał się, to szło się do karcra. A karczec wyglądał tak, że to była jedna pojedyncza cela przegrodzona żelazną kratą wzdłuż i w jednej części była taka nara betonowa, na której były dębowe deski kanciaste, a druga była wolna. Okna pootwierane, zimno i jeszcze lali wodą zimną przez kratę. Po odsiedzeniu tak 2-3 dni to człowiek dostawał zapalenie płuc, do szpitala i w tamtych latach więźniom nikt penicyliny nie fundował i odjeżdżało się na cmentarz. Można było w tym okresie 1945-48 r. dostarczać paczki. Rodziny przysyłały te paczki. Nawet przychodziły paczki z krańców Polski: z białostockiego, rzeszowskiego. Jedzenie było kiepskie, ograniczone w tamtym okresie, ale w każdym razie była pomoc rodziny.

Od 1948 r. paczek nie można było przysyłać. Nie przyjmowano paczek, a tylko była wypiska. Na wypiskę można było kupić na dziesięć dni 10 papierosów, ćwierć kilo cukru, i ćwierć kostki, czy pół kostki margaryny. Wypiska była trzy razy w miesiącu co dziesięć dni. Jedzenie było bardzo podłe i mało było tego jedzenia. Więc to była jeszcze jedna wielka trudność przeżycia, bo niektórzy potrzebowali więcej jedzenia. To był ten drugi okres. My jeszcze trafiliśmy na koniec tego ciężkiego reżimu.

Następnego dnia rano wydano nam załówek, prześcieradła i przeniesiono nas do innej celi., na tym samym piętrze, na tym samym oddziale tylko bliżej tego skrzyżowania korytarzy. W tej pierwszej celi to podłoga była betonowa, jednoosobowa i takie łóżko co na noc się zamykało. Ta druga cela też była jednoosobowa, tylko że nas tam ośmiu wpakowano. Nam się znowu udało wskoczyć raz z bratem i ten Franzuz też z nami był. Chodził jakiś tam więzień od celi do celi i spisywał więźniów.

Później jak miałem możliwość wglądu, to przeczytałem, że tego samego dnia, ale wcześniej przywiezionotransport z Zielonej góry i tak mieszano tych więźniów. Czterech z poznańskiego transportu i czterech z tego drugiego. Jak spisywali tych więźniów, to trzeba było podchodzić do drzwi i przez zamknięte drzwi podawać swoje nazwiska. Brat podszedł i podał swoje nazwisko, później kilku podało, i ja podałem swoje. Tak że podaliśmy te nazwiska nie pokolei i te barany nie zorientowały się i tak nam się udało, że przez dwa miesiące siedzieliśmy z bratem w jednej celi. To więc w warunkach więziennych nie zdarza żeby najbliższa rodzina w jednej celi siedziała. Reżim był w dalszym ciągu. Do tego w nocy męczyły na spluskwy, roje pluskiew. Wylaziły z tych szpar, spadały z sufitu i nas gryzły. Myśmy interweniowali, to robili nam takie gazowania. Wyprowadzano nas z celi, i jakimiś środkami odgazowywali tę celę, palili tam jakieś środki owadobójcze. Jak tam wypaliło się wszystko, otwierano okno i nie czekano, żeby tam się wszystko wywietrzyło, tylko nas wpuszczano do tej celi, resztki tego dymu powodowały to, że u niektórych występowały swędzące bąble, ludzie drapali się tam do krwi. Na to nie chcieli reagować.

Pod koniec lipca, czy na początku sierpnia, leżymy na tych siennikach, już po apelu. Tak się ułożyliśmy, że sześciu więźniów leżało w poprzek, pokotem w celi, a my z bratem na łóżku. A ci co w poprzek leżeli to nogi

trzymali pod łóżkiem, głowami nie w stronę kibla, tylko w stronę przeciwną. Zaraz po apelu, po godz. 7.00, słyszymy, że tam otwierają się obok cele, że ktoś chodzi, że ktoś pyta, w pewnym momencie otwierają się drzwi do naszej celi wszyscy chcemy zrwywać się na nogi i widzimy, że stoi kilku wojskowych w różnych mundurach, w mundurze piechoty, marynarki i lotnictwa. I naczelnik więzienia Jakubowski. Jeden z tych wojskowych mówi, nie zrywajcie się, proszę leżeć spokojnie, porozmawiamy. "Czy macie jakieś zażalenia". Milczymy, bo naturalnie nikt przy naczelniku nie ośmielił się o zażaleniach mówić, czy o opluskwach bo to wszystko może być obrócone przeciw więźniom. Już zorientowaliśmy się jakie warunki są we Wronkach. Wtenczas jeden z tych wojskowych mi świę wydaje, że to marynarz był, wszedł do celi (co nigdy nie następowało, nigdy nikt do celi nie wchodził ani oddziałowy, ani strażnik bo się bali żeby więźniowie nie napadli na niego) zamknął za sobą drzwi i mówi "Teraz panowie, jak tu jest". I wtenczas powiedzieliśmy jak tu jest. O pluskwach, o wypisce, o reżimie, jak wyjdzie się na korytarz, czy do lekarza to trzeba do ściany twarzą stawać, i nie można nawet odetchnąć przy tej ścianie, nosem trzeba dotykać ściany. On tego wysłuchał i mówi "Mam nadzieję, że to się zmieni" i wyszedł. To była komisja prokuratorska z najrozmaitszych rodzajów broni. Wojskowi prokuratorzy. To było po śmierci Stalina i opo aresztowaniu Berii.

O aresztowaniu Berii też dowiedzieliśmy się w więzieniu. Berię aresztowali w czerwcu. W celach higienicznych dawano nam takie maleńkie kartki gazet. I do nas trwała gazeta rosyjska porwana "Prawda" i mój brat przeglądając te karteczki dowiedział się właśnie o aresztowaniu Berii w czerwcu.

Ja miałem dyżur, myłem podłogę i ręką zaczęłam o ten beton i rozwaliłem sobie palec koło paznokcia i dostałem zakażenie krwi. Wysoka gorączka. 40 stopni, caerwona pręga aż pod pachę, zgłosiłem się do oddziałowego i jak ten mnie zobaczył to prowadził mnie do szpitala. Tam zostałem zastrzyk przeciwężcowy i przeciw zakażeniu. Na drugi dzień gorączka opadła, ale oni mi ten palecczyścili, miałem opuchnięty i co parę dni musiałem chodzić na opatrunki. Kiedyś tam zgłosiłem się do oddziałowego, że mam iść na opatrunek, on to sprawdził w swoich notatkach i przyszedł i mnie zabrał. To był oddziałowy bardzo dokuczliwy, nie pamiętam jak się nazywał, miał bardzo bujne blond włosy, czapkę nosił na bakier tak jak Rosjanie, był okrutny i złośliwy. Przyprowadził mnie na szpital postawił twarzą do ściany. Tam też jakiś więzień stał jakiś znajomy mój, który tam syknął na mnie, ja obruciłem głowę w jego kierunku, oddziałowy podleciał, chwycił mnie za włosy z tyłu głowy i z całej siły walną mnie twarzą o ścianę. Rozkwaśił mi cały nos, krew się poląła, nic nie mogłem powiedzieć. Lekarze zrobili mi opatrunek, jakąś watę mi do nosa wpakowali i wróciłem do celi. Po paru dniach znowu idę na opatrunek, ale już mnie inny prowadził. Przyprowadził mnie na "plac wolności" - tak nazywaliśmy to miejsce, gdzie się rozcho-dziływszystkie korytarze i mówi "Idźcie pod swoją celę". Ponieważ oddziałowego nie było, to stanąłem twarzą do ściany, jak regulamin przewidywał. I słyszę gdzieś tam z góry głos: "Halo wy, halo wy" a ja nic, bo zdarzały się takie wypadki, że jak oddziałowy wołał i się odwróciło, to do karcra. Słyszę dalej: "Halo wy spod celi 86, czy nie możecie stanąć po ludzku tylko musicie stać twarzą do ściany. Odwróćcie się, ja wam każę odrócić się". To się odwróciłem. "Od dzisiaj będziecie stać normalnie, rozumiecie?". Tak jest odpowiedziałem. Przyszedł otworzył celę i wpuścił mnie. To był pierwszy rezultat tej wizyty prokuratorskiej.

Następne to była wypiska. To było Eldorado. Chodzili tzw. wypiskarze - to byli więźniowie, którzy pracowali w kantynie i pytali się co chcesz na wypiskę. Mówili ile kto ma pieniędzy na koncie. I przeczytali nam co możemy kupić na wypiskę. Pięć kilo kiełbasy, konserwy, 20 kg pomidorów, ogórki, jabłka, możesz kupić wszystko. Eldorado. Niektórzy ludzie, rodzina im przysyłała po 200 zł i nie mogli tego wykorzystać, więc na kontakt mieli i po 1000 zł, co było w tamtych czasach bardzo dużo, więc oni wygłodzeni kupowali wszystko. Później w naszej celi stały cztery skrzynki, gdzie były: cebula, ogórki, pomidoru, kiełbasa wisiała na końcu łóżka, to były całe pęta kiełbasy, zupełnie inny świat. Można było rozmawiać, słychać było śmiechy z zel obok, zupełnie inne warunki. Tak się rozpoczął ten trzeci okres normalizacji. To w dalszym ciągu nie było sanatorium, to było więzienie, w każdym razie nie było tego okrutnego reżimu.

Pod koniec sierpnia rano wyprowadzono nas na spacer. Wychodziło się na spacer celami tzn. cały oddział, piętro oddziału wychodziło po kolei celami, ale musiała być taka przerwa 10-15 metrowa cela od celi. Spacerówki były między ramionami tego krzyża więziennego. To była dość duża przestrzeń, wybetonowane chodniki, w środku był trawnik, a gdzie niegdzie kwiaty posadzone. Jak wyszliśmy na tą spacerówkę, może to było śmieszne, ale to było tak: w więzieni wyostrzały się u ludzi zmysły, nawet ten 7 zmysł się wyostrzał. Człowiek ma w sobie zdolność orientacji w terenie. Ja to stwierdziłem po sobie w czasie wojny bardzo dużo chodziłem po terenie w ramach konspiracji. Załatwiałem najrozmaitsze sprawy dla mojego oddziału, wyszukiwałem umundurowania, broń, przygotowywałem akcje, obserwacje najróżniejsze robiłem i czasami zdarzało się, że musiałem przejść 40 i 50 km. Nie chodziłem drogami, tylko wpięrn na mapie orientowałem się i szedłem na przelaj. I nie zdarzyło mi się żebym nie trafił w to miejsce, gdzie chciałem. Naturalnie były jakieś różnice 5-1 km. No ale na 50 km to co to jest 1 km odchylenia.

W więzieniu telepatyczne zdolności u człowieka objawiają się. I tego dnia jak wyszliśmy na spacer, to mówię do brata tak: miałem jakiś dziwny sen dzisiaj. Śniło mi się, że po obiedzie - obiad był zawsze o godz. 12.00 w więzieniu - że siedzimy w celi, otwierają się drzwi, wchodzi oddziałowy i mówi Borkowski na widzenie. A jeszcze we Wronkach widzenia nie mieliśmy. A ja mówię, który Botrkowski, a on, co to, dwóch was tu jest? I tak to

widziałem we śnie. Pośmieliśmy się i wróciliśmy do celi, zjedliśmy obiad, siedzimy rozmawiamy po tym obiedzie. Raptem drzwi otwierają się, wchodzi oddziałowy i mówi: "Borkowski na widzenie". Ja mówię a który? "A co dwóch was tu jest?" No i sprawa się ryła. Żona przyjechała na widzenie z teściową przyjechały do mnie i do brata. Poszedłem na widzenie. Widzenie we Wronkach było bardzo nieprzyjemne, bo było takie wąskie okienko 30 na 30 cm. obite siatką z jednej strony i z drugiej, przestrzeń była półtora metrowa. Tam trzeba było wypatrywać tą znajomą twarz i rozmawiać. To były trzy stanowiska, trzech więźniów od razu stało, wszyscy krzydzeli właściwie nic nie było słyhać, nie można się było porozumieć. Takie były widzenia we Wronkach. Oprócz tego przy każdym więźniu stał oddziałowy, który pilnował, żeby nie można było nic powiedzieć. Z jednej i drugiej strony.

Mała dygresja. W czasie tego pierwszego zjazdu więźniów politycznych razem z tymi byłymi więźniami przyjeżdżały ich żony. Pytałem się dlaczego te żony przyjeżdżają, czy to tak je interesuje, żeby razem z mężami przyjeżdżać, przecież mężowie to przeżywali i chcą zobaczyć te więzienia. One mówią, że one tak samo to przeżywały. One tak samo cierpiały jak przyjeżdżały na widzenie. One też były poddawane tym szykanom. Jak przyjeżdżały w okresie zimowym to tam była taka buda 300 m przed więzieniem, gdzie siedziały bez żadnego ogrzewania po kilka godzin czekały na to widzenie zmarznięte, potem 5 minut widzenia i trzeba wracać do domu. Przyjeżdżały z drugiego końca Polski po to, żeby zobaczyć się z mężem, czy bratem przez 5 minut. One też to przeżywały i chciały zobaczyć jak to wygląda teraz.

Odbędzie się to widzenie, najpierw ja, później brata zaprowadzili. Wrócił brat do celi i nie minęła godzinka jak nas rozdzielono. Zawołano mnie i na tym samym piętrze, na tym samym oddziale tylko na drugą stronę mnie przenieśli. Trafiłem do celi, której skład do dzisiaj najmilej wspominam. Było bardzo bratersko, przyjacielsko i kulturalnie. Bo element niby tam polityczny był, ale to najrozmaitsze poziomy intelektualne i jakieś sfery. To trzeba wielkiej cierpliwości, tolerancji i wielkiej wyrozumiałości, żeby tam współżyć. Ja wyróżniam się dużą odpornością psychiczną. W więzieniu nigdy nie miałem żadnych załamań psychicznych ani nerwowych. Inni mieli okresy melancholii, smutku, rozpacz. Ja tego nigdy nie miałem. Ja byłem wierzący, praktykujący i jak mi było ciężko to uciekałem w sferę ducha czy w sferę modlitwy.

W tamtej celi zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Mieliśmy wspólny kotchoz jedzeniowy. Tam siedział pan Jan Tkacz z Gdańska - dowódca placówki AK z rzeszowskiego, Zbigniew Krystek - absolwent szkoły handlu morskiego w Gdyni, Zbigniew Chodnikiewicz z Kielc i drugi Kielczanin Zbigniew Całka i bardzo sympatyczny taki chłopak ze wsi Jasio Bogusz z opoczyńskiego - wesół chłopak, bardzo muzykalny, śpiewał nam wszystkie te poleczki z opoczyńskiego. Później całą naszą celę przerzucono piętro wyżej na drugą stronę. Tam opowiadaliśmy sobie różne przygody, filmu, książki i bardzo się żyliśmy. Po jakimś czasie kombinowaliśmy jak tu zrobić karty. Jasio Tkacz wykombinował. Na zapalniczkach, ktoś tam miał rywanol, na tych kancikach od zapalek zostały poznaczone wszystkie symbole kart. To się tak robiło, że do czapki więziennej wsypywało się 52 zapalniczki, mieszało się i po jednej rozdawało się. I tak graliśmy w karty. Nauczaliśmy grać Jasia. Jasia nauczyliśmy grać w brydża i po paru miesiącach doskonale grał. Jak tylko zjedliśmy śniadanie i uporządkowaliśmy tą celę, to on już nas molestował żeby grać w brydża. Czas zabijaliśmy. Dwóch siedzieliśmy na desce co wystawała z tego łóżka od tych sienników, a dwóch siedziało na stołkach po drugiej stronie i siedzieli nieruchomo właściwie. Jak oddziałowy zajrzał, to każdy te zapalniczki wziął w rękę i siedział nieruchomo, ale to ich korciło i kiedyś otworzył drzwi i pytał: "Co wy robicie?", a my nic, odprawiamy medytacje. "Co to są medytacje?" a my na to - pan będzie łaskaw zapytać się swojej władzy to oni panu powiedzą. To takie myślenie, żeby kota nie dostać tu w więzieniu. Ale ich to niepokoiło dlaczego my tak spokojnie siedzimy tu. Ale ponieważ na 6 siedziało w celi to dwóch było wolnych i spacerowało.

Przyszło drugie Boże Narodzenie. Mieliśmy konserwy rybne, urządziliśmy wspólną Wigilię, naturalnie na obiad była kasza postna, ale na kolację podali nam barszcz. Ci kucharze zrobili taką tradycyjną przyjemność dla więźniów, że podali czerwony barszcz. Pośpiewaliśmy kolendy głośno cały wieczór. Ale to co dobre długo trwać nie może.

22 stycznia zorganizowano transport. Zabrano z celi, zgromadzono w wielkiej sali takiej tam przesiadaliśmy pewnie ze dwa dni w tej sali. Zabrano nam wszystkie rzeczy więzienne, oddali nam cywilne, wygniecione takie, bo to w workach trzymane no i któregoś dnia taką kolumną 200 osób wyprowadzono nas z więzienia za bramę i na dworzec do więźniarek nas wprowadzono. Więźniarka wygląda tak na zewnątrz jest brek, kabinka strażnika i wewnątrz maleńkie przedziałki. Pakowano nas tam po czterech ludzi, ale dwóch tylko mogło siedzieć a dwóch musiało stać. Okna pod sufitem zamalowane nic nie widać. Koło południa doczepili nas do jakiegoś pociągu i przyjechalśmy do stacji Poznań. Ale nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą. Po paru godzinach doczepiono nas do jakiegoś pociągu, już ciemno było, drzwi się otworzyły i "Wychodzić z wagonu" i zaraz krzyk "Na kolana! do Częstochowy żeście przyjechali". Wszyscy na kolana padli w ten mokry śnieg z błotem i tak nas trzymali przez godzinę.

Okazało się, że jesteśmy w Rawiczu. Później przyjechały samochody, pakowano nas tam ciasno i przywieźli nas do więzienia i do niskiego parteru tam nas wpakowano ciasno. Tam nas trzymali blisko miesiąc czasu. Tam były straszne warunki było piekielnie zimno. Od góry do dołu była taka rura żeliwna i tam między 10-12 wpuszczano troszeczkę ciepła tak że ta rura była ledwo letnia i to było ogrzewanie. W tym niskim parterze, gdzieśmy tam

siedzieli wydali nam koce, umundurowali nas, to po nocy strzepywaliśmy szron z koców. Takie były warunki. To była kwarantanna. W Rawiczu panował w dalszym ciągu reżim tego drugiego okresu. Nie ten luz wronkowski tylko te starce czasy reżimu. Dlatego mówi się że symbolem tej martyrologii są Wronki, ale też jest Rawicz. To były dwa więzienia, gdzie najwięcej było więźniów politycznych i tam były te dramatyczne warunki. We wronkach siedziało najwięcej więźniów politycznych. Natomiast w Rawiczu siedzieli polityczni więźniowie i więźniowie pospolici z największymi wyrokami tzn. za morderstwo, gwałty itd.

Dla mnie to był najcięższy okres w więzieniu ten pierwszy okres w Rawiczu. Po tym miesiącu czasu przeniesiono mnie i jeszcze jednego na drugie piętro, siedzieliśmy we dwójkę w takiej małej, wąskiej celi. Tam już była podłoga drewniana. Tam siedziałem parę miesięcy. Nie pamiętam już z kim, ale w każdym razie dobrze nie pamiętam tego okresu, ani tamtego więźnia, ani tamtego okresu. Jedzenie było podłe, wypiska była ograniczona: 20 papierosów, ćwierć kilo cukru, kostka margaryny to było wszystko. Rodzina dowiedziała się o moim przewiezieniu jak przyjechała do Wronek na widzenie i pojechali puysto do domu. Brat został we Wronkach. Tak siedziałem kilka miesięcy do jesieni 1954 r. Ta cela była od południowej strony i przez te blindy to się nagrzewało i nie można było oddychać, szczególnie w dzień tak się ta cela nagrzewała.

Po paru miesiącach przerzucono mnie na tzw. pawilon "czerwony". Podobna konstrukcja i podobny typ więzienia tak jak we Wronkach - powierzchnia celi, rozstaw tych ganków i to wszystko jak we Wronkach, tylko to był jeden budynek. Tam były cztery poziomy. Od szczytu wielkie okna takie na pół ściany. Tam była drewniana podłoga, ja dostałem się do celi szczytowej. Poprawiła się wypiska a towarzystwo było rozmaite. Byli pospolici przestępcy i polityczni razem. Tam też spotkałem się z panem Wiesławem Chrzanowskim.

Były takie okresy, że zmieniano często skład więźniów, żeby więźniowie nie przyjaźnili się, żebytakie bliższe stosunki nie zawiązywały się, bo to ułatwia przetrwanie. Więc ciągle nas zmieniali i naturalnie ciągle nieufność do nowych więźniów. Dostaliśmy - we czterech siedzieliśmy - Adamczewski się nazywał, niewielkiego wzrostu, krępy silnie zbudowany facet, który na pierwszy rzut oka wydawał się inteligentnym młodym człowiekiem. Używał powiedzonek niemieckich i francuskich i całe zdania francuskie wstawiał i wydawało się, że zna ten język. W celi ktoś mnie namówił, że jak mam pieniądze na wypiskę, to żebym złożył podanie do naczelnika o pozwolenie kupienia szachów, bo można było mieć w celi szachy. Mnie tych pieniędzy z wypiski było szkoda, bo żona w okresie mojego śledztwa i więzienia nie mogła znaleźć pracy. Kdzie tylko złożyła podanie i w ankiecie trzeba było napisać co robi mąż, to jak przeczytali że siedzi w więzieniu to od razu była odmowa. W końcu zlitowała się nad nią pani Hanna Giedryś, która była kierownikiem sadu doświadczalnego akademii rolniczej w Przybrodzie i ona przyjęła żonę do pracy na etat fizyczny, bo inaczej nie mogła. Żona przeszła rok pracowała na etacie fizycznym, a później jakoś dostała się na etat naukowy. Ja nie chciałem obciążać finansowo mojej żony. Wiedziałem, że w domu są szachy i poprosiłem żonę i ona mi te szachy przysłała. Na celi było napisane, że są szachy, żeby któryś z oddziałowych nie skonfiskował. Graliśmy w te szachy. Ten Adamczewski był mistrzem szachowym, ale doszły do nas słuchy, że to jest oberkapo. Ze względu na mnie go tam przysłano. Bo tam innych chłopców, tam siedzieli ukraińcy z Bandy Upa, siedzieli Niemcy SS-mani, ich starano się izolować, ale od czasu do czasu też wpuszczano do naszej celi. Byli bardzo nieprzyjemni, ani do nas nie odnosili się sympatycznie, chociaż wiedzieli, że jesteśmy polityczni, ani my do nich. Ukraińcy też nie bardzo do nas się odnosili. Później zaprzyjaźniłem się bardzo z takim księdzem grecko-katoickim ks. Mikołajem Denko, który był później w Krakowie mitratem tzn. prawie biskupem. Szereg lat korespondowałem z nim.

I tak po kolei zabierali więźniów z mojej celi, że zostałem z nim sam jeden z tym Adamczewskim. Wewnętrznego dnia ja mówię do niego: "Panie Adamczewski, ja wiem kto pan jest, jaką pan ma rolę do spełnienia. Ja panu nie ujawnię nic bo nie mam co ujawniać. I niech pan nie wusila się, że mnie pan wyciągnie na jakieś rozmówki bo ja panu nie powiem, ale musimy jakoś współżyć. Pan siedzi i ja siedzę więc może będziemy grali w szachy i nic poza tym". Ale zorientowałem się w międzyczasie, że on jest analfabeta. Mimo, że zna niemiecki jako tako to jest analfabeta. Jak nam dawali gazetę od czasu do czasu to on siadał w kącie i pocił się całą, żeby przeczytać chociaż jedno zdanie. Ja się go pytam, czy umie czytać a on mówi, że kiepsko bo nie chodził do szkoły zaczął mi opowiadać o swoim ciężkim życiu. Z jego opowiadań zorientowałem się, że on w czasie wojny został wywieziony do Niemiec na roboty. Ponieważ był na tyle inteligentny i bystry nauczył się szybko na tyle języka niemieckiego, że mógł porozumieć się z Niemcami. Później dwa lata pracował z Francuzami, jeńcami wojennymi i od nich nauczył się potocznej znajomości słów. Ja mówię do niego "Panie Adamczewski, szkoda czasu, niech pan złoży podanie do naczelnika więzienia, niech panu da książkę, zeszyty, ołówki i ja pana będę uczył". Muszę powiedzieć, że był inteligentny. Wspaniale grał w szachy, wszystko w lot łapał i zapamiętywał. On zgodził się i do tzw. specatj. nadzór UB-owski w więzieniu i dostał pozwolenie i przynieśli mu książki. Zaczęliśmy od Ala ma kota i 2+2=4 i tak ta nauka szła. Pięć godzin dziennie się uczyliśmy i muszę powiedzieć, że on robił postępy. Przynoszono nam co tydzień kupę książek. Ja korzystałem z tego bo miałem co czytać. Naturalnie biblioteka była wyczyszczona z książek wartościowych, ale na bezrybiu i rak ryba. Prosiłem tylko tych bibliotekarzy, żeby nie przynosili mi dzieł Lenina i Stalina. Poza tym wszystkie inne były do czytania. Jemu też na głos czytałem. Tak nasze życie się układało. Z początku on był w stosunku do mnie lojalny. Od czasu do czasu jego zabierano na przesłuchanie na pół godziny, na godzinę po czym wracał ja mu fundowałem papierosy z wypiski bo sam nie paliłem jakoś ta współpraca układała

się do chwili kiedy nie doszliśmy do ułamków dziesiętnych. Nie mógł zrozumieć co to jest ten ułamek dziesiętny. Więc chcąc mu przybliżyć pewnego ranka wziąłem gazetę i tą gazetę pociąłem na 1000 kawałków i na podłodze ułożyłem 100 kupek po 10 kawałków. I mówię mu, że będziemy się uczyć systemu dziesiętnego. Tłumaczyłem jemu, że 10 jednostek to jest jedna dziesiątka, 10 dziesiątek to jest 1 setka, 10 setek to jest 1000. Ten zerwał się w pewnym momencie, nogą kopnął te wszystkie kupki, wywalił klapę to był taki znak dla oddziałowego, że więzień coś chce, to była taka rączka w celi i jak się pociągnęło za tę rączkę to na zewnątrz opadała taka klapka i to z hukiem spadało i ten dyżurny wiedział, że więzień coś chce. Przyszedł oddziałowy i pyta co chcemy, a on na to "Do naczelnika" i poszedł. Nie było go pewnie parę godzin i wrócił do celi, zjedliśmy obiad nie rozmawialiśmy i po południu mnie wzywają do specja. Poszedłem, siedzi taki facet w randze porucznika i mówi: "Słuchajcie Borkowski, wy jesteście człowiekiem wykształcony i inteligentny i w ten sposób obeszlście się z tym prostym człowiekiem. Daliśmy wam szansę żebyście mieli troszkę rozrywki i przy okazji nauczyli tego chłopca pisać i czytać". Ja mu powiedziałem jak to było. Opowiedziałem mu od początku jak to było. Ja mu powiedziałem, że ja wiem kto to jest Adamczewski, że on nie musi ukrywać tego dlaczego on siedzi razem ze mną. I, że to jest próżny trud i jego i Adamczewskiego, że ja w śledztwie wszystko o wiedziałem i nie mam nic do dodania. Kazał iść mi do celi. Po powrocie powiedziałem: "Słuchaj Adamczewski, teraz pokazałeś swoje oblicze. Jesteś zatwardziały kapusiem. Od tej chwili nie odezwę się do ciebie słowem. Myślałem, że jakaś odrobina uczciwości w tobie tkwi. Nie ma uczciwości i teraz potraktuję ciebie jak prawdziwego kapusia". I siedzieliśmy razem we dwóch trzy miesiące i rzeczywiście do niego nie odezwałem się do niego ani słowem. On dostawał szafu, bo ta jego natura prymitywna, on nie mógł znieść tego, bo tak zawsze coś opowiadał, ale na szczęście nie zaprzestano przynosić mi książek, więc ja miałem co robić. Przez cały dzień czytałem książki, spacerowałem po celi, sam grałem w szachy a on, najgorsza rzecz nie miał papierosów. Dostawał szafu. Wtedy brał metalową łyżkę, skrobał sęki z podłogi, zawijał to w gazety i palił. Smród był okropny. Tak to trwało trzy miesiące ta jego męka. Po trzech miesiącach wpuszczono do celi czterech więźniów i było nas sześciu. I tegoż pierwszego dnia po wprowadzeniu tych więźniów, jeden z nich taki bystry młody chłopak Jessa - pochodził z Drawska - na spacerze przeskoczył do drugiej celi (nie można było tego robić) i dowiedział się, że ten Adamczewski jest oberkapo. A Adamczewski poprosił, że chce spacerować osobno. Była taka możliwość, bo dla niektórych chorych, czy inwalidów, pozwalali im, żeby spacerowali osobno. I ten Adamczewski spacerował osobno. Po powrocie do celi jak wszedł Adamczewski to Jessa nie oglądając się na nikogo, chwycił dechę od kibla i do tego Adamczewskiego: "Ty kapusiu, my wiemy kim ty jesteś i my ci teraz pokazemy". Dwaj inni chwycili Adamczewskiego za ręce i Jessa chciał go tym dekiem walić Ja wskoczyłem między nich i uspokoiłem ich, powiedziałem, że to nie jest metoda, że można poprosić oddziałowego, żeby Adamczewskiego przeniósł. Adamczewski przespał noc w kąciuku skurczony i następnego dnia poszliśmy na spacer, Adamczewski spacerował osobno i po powrocie do celi zaczął jeść szkło. Nazbierał na spacerze szkła i zaczął jeść. Jessa pociągnął za klapę, przyszedł oddziałowy i Jessa powiedział, że on najadł się szkła i zabrali Adamczewskiego. Jemu nic nie było oczywiście, bo to jest stara metoda więzienna, jak więzień chce się dostać do szpitala, czy coś takiego. Więcej go nie widziałem. Dla mnie to było przykre, bo ponieważ to byli chłopcy, siedzieli za najrozmaitsze przewinienia, nie zawsze polityczne, w celi nudziło się to ja im opowiadałem najrozmaitsze historie: filmy, historię Polski starą i najnowszą oni tego nie wiedzieli. Poza tym zaczęli przywozić z Warszawy tych tzw. chuliganów. Ich gromadzili na GEsiońce, na dawnym Getcie tam ich gromadzili, a później przywozili do Rawica. Ja im opowiadałem to wszystko. Oni słuchali mnie z otwartymi ustami. Od samego rana zaraz po śniadaniu prosili mnie żebym siadał i opowiadał im. Któryś tam musiał puścić farbę, albo podsłuchał oddziałowy, bo po jakimś czasie zabrali mnie z tego "czerwonego" pawilonu i przenieśli na "biały" pawilon i wpakowali do celi pojedynczej.

Nas dwóch tam wsadzili dla pewnego kamuflażu. Po paru dniach tamtego zabrali i ja sam zostałem. To był rok 1955 r. zima. W tej celi zostałem sam. Samotność mi nie dokuczała. Od czasu do czasu dostawałem książkę, i okno w celi nie było zasłonięte i widziałem co się dzieje na podwórku więziennym.

Z tego czerwonego pawilonu przerwali mnie na biały najpierw do czteroosobowej celi, gdzie siedzieli ci chuligani. Tam był taki warszawski złodziejaszek Zygmunt Szczęsny, który pewnego dnia jak wyszliśmy na spacer z celi a on został i połknął cały pałak od wiadra. Tam też siedział bardzo sympatyczny złodziejaszek warszawski Tadzio Kubiak przezywany "Mongol" i tam im opowiadałem te rzeczy historyczne i tam któryś puścił farbę i przerwali mnie do tej celi pojedynczej.

Władza więzienna ułatwiała sobie sprawę. Wiedziała co to jest ten element chuligański, kryminalni, to byli młodzi chłopcy w wieku dwudziestu paru lat. Wszyscy byli dumni z tego, że są Warszawiakami, dzieci bez rodziców, z domów poprawczych, z domów dziecka. Jeżeli siedzieli sami to najdziksze awantury wyprawiali np. rozbierali się do naga, gdzieś na spacerze kawałek szkła znalazł to całe ciało podrapał i spływał krwią straż więzienna wzięła kubek wody z solą wymieszaną oblali go, ten wykrzyknął się i to była wszystko, cała dezynfekcja. Oni byli psychicznie niezrównoważeni i żeby zachować spokój w więzieniu to oni tak robili, że pakowali 2-3 więźniów politycznych i 2-3 kryminalnych.

Na początku to oni uważali nas za frajerów. Usiłowali w niektórych celach zdominować tych politycznych. Ale jeżeli polityczni od razu postawili się to podporządkowywali się. U nas tak samo było. Na początku było nas 2 politycznych, a ich 4. I oni chcieli żebyśmy im miski myli, żebyśmy tylko my sprząтали celę. A myśmy się ostro

postawili i podporządkowali się. Mało tego. Później do tego doszło, jak ja im opowiadałem i ten drugi polityczny o historii Polski, o królach, tworzyłem tam jakieś niesamowite bajki, to nawet nie pozwolili mi miski mojej myć. Nie pozwolili mi podłogi myć. Oni to robili za mnie. Oburzali się jak ktoś powiedział na mnie frajer, a było tak, że kiedyś przez okno, bo tam można było się przez okno porozumieć, to krzychał "Tego w brylach poprosz żeby odpalił mi dziesiątkę papierosów..". I ten Kazio mówi "Co ona pana nazwał w brylach, ja jemu dołożę". Jak wychodziliśmy na spacer, to wskoczył do tamtej celi i tylko zakotłowało się i tamtem z krwawym nosem szedł.

Tam w Rawiczu na spacer wychodził gen. Tychmajer. Obok w celi siedział. Traktowali go w okropny sposób. On nie miał nogi. Miał odciętą bardzo wysoko nogę w udzie. Na noc się wystawiało ubranie przed celę na stołku, w kostkę złożone, widziałem tą protezę wystawioną to była bardzo wysoko obcięta noga aż po pachwinę. Zabrali mu te rzemienie, które przytrzymywały protezę. On wychodząc na spacer musiał ręką przytrzymywać tę protezę, żeby mógł iść. Kazali mu wystawiać na noc protezę. Więc on jak wystawiał to ubranie i tą protezę to wpełzał do celi. To było upokarzające dla niego.

Zostałem sam w tej celi. Dokuczało mi zimno. Wyposażenie więźnia wyglądało tak: siennik a w nim paprochy, prześcieradło jedno i kocyk wytarty to nie wełniany kocyk, tylko bawełniany i wytarty. Było bardzo zimno. Nie można było mieć swetra, specjalne zezwolenie trzeba było mieć. Mieliśmy koszulę, drelichową bluzę i spodnie, kalesony i buty drewniane i onuce. To było całe wyposażenie więźnia. Było bardzo mi zimno. Ale też od czasu do czasu dawali gazety do przeczytania. Te gazety trzeba było zdawać. Ale rano był inny oddziałowy i po południu przychodził inny i nie zdawałem tych gazet i zacząłem je gromadzić. Jak już miałem dużo tych gazet, to poprosiłem o igłę, sprułem jedną z zapasowych skarpetek żebym miał nitki, rozłożyłem warstwę gazet na podłodze, resztę gazet zgniotłem, żeby były napuszone i przepikowałem to wszystko igłą i nitką i w ten sposób uszyłem sobie koldrę. Miałem cały dzień roboty. Mogłem spać na prześcieradle i na sienniku, przykrywałem się tą koldrą papierową na to koc i spałem jak król. Tak spałem kilka tygodni, aż pewnego ranka urządzono kipsisz i wyprowadzali wszystkich z celi. Zaczęli przetrząsać każdą celę po kolei. To było rutynowe zajęcie. Stoję na tym korytarzu i w pewnym momencie oddziałowy wynosi tę moją koldrę i mówi: "Patrzcie, pierzynę sobie uszył" no i naturalnie raport i do naczelnika. Naczelnik się pyta za co jestem u niego, a ja mu mówię, że uszyłem sobie pierzynę i opowiedziałem mu, że jest zimno pod jednym kocem, ogrzewania nie ma, w celi jest temperatura ok. 10 stopni i że to jest szykana dodatkowa. Naczelnikiem wtedy był jakiś pułkownik z pierwszej armii Wojska Polskiego. Wysłuchał mnie i mówi: "Karę musicie dostać. Dwa tygodnie głodu". To była taka kara. "Możecie złożyć do mnie prośbę o sweter". Kara ta wyglądała w ten sposób, że jednego dnia dostawałem normalne pożywienie, a następnego dnia dostawałem kubek kawy i połowę normalnej porcji chleba. To dla mnie nie była wielka kara, bo ja z natury niewiele jadłem. Porcja normalna była 400 g chleba, wszystkie produkty z wypiski trzeba było przekazać oddziałowemu. Tak dwa tygodnie minęło. Po dwóch tygodniach cela otworzyła się i wywołał mnie oddziałowy z rzeczami i wziął mnie do tzw. porządkowych. Ja myślę, że to w dalszym ciągu była inwigilacja mojej osoby, bo porządkowi chodzili po celach musieli wylewać te kible, to było takie niezbyt przyjemne zajęcie. No ale wziął mnie i poszedłem razem z innymi. Jednym z tych porządkowych był taki facet, nie pamiętam jego nazwiska, też pochodzący z Kresów Wschodnich, bardzo nieprzyjemny typ, który z wszystkimi oddziałowymi żył w bardzo dobrych stosunkach - za pan brat. Inni porządkowi też byli wybrani z więźniów i oni byli w porządku. Ten starszy porządkowy, zajmował się rozdziałem diety. Ludzie którzy mieli kłopoty zdrowotne to dostawali dietę tzn. trochę mleka, ryż itd. On to rozdziałał. Ale rozdziałał to tak, że zawsze coś zostawało i usiłował rozdzielić to wśród porządkowych. Paru porządkowych przyjmowało to od niego, ale ja z innymi nie, bo uważałem, że to świństwo, że to należało się tym chorym a nie zdrowym. On na to krzywo patrzył i ciągle miał do mnie pretensje, że ja za wolno wynoszę kible, że ja wodę wylewam iutd. Ale to było bardzo krótko. Może ze dwa tygodnie.

Ponieważ więzienie w Rawiczu zmieniało swój charakter więzienia, bo wszystkich więźniów politycznych z niższymi wyrokami wywożono do innych więzień, do Strzelec Opolskich, do roboty do kopalni, do kamieniołomów, a zostali tylko więźniowie

z wyrokami po wyżej 10 lat oczywiście ci chuligaani. Później się okazało, że tych więźniów politycznych w Rawiczu zostało ok. 150 tylko. Administracja więzienna opierała swoje prace na więźniach tzn. kucharze, w księgowości itd. pracowali więźniowie. Tam pracowali więźniowie wybrani z niskimi wyrokami i jak ich wywieźli to siłą rzeczy musieli przyjąć do tych prac więźniów z wysokimi wyrokami.

Wynosząc te kible, jak byłem porządkowym jeszcze, usłyszałem jakiś głos znajomy w celi i przypomniałem sobie ten głos, że to jest głos mojego kolegi z dzieciństwa. On się nazywał Andrzej Dudo. I kiedyś jak wychodziliśmy na spacer to wskoczyłem do niego. Oczywiście nie poznał mnie w pierwszej chwili, ale jak powiedziałem jak się nazywam to bardzo się ucieszył.

Kiedyś przyszedł oddziałowy, który opiekował się biblioteką, i zapytał mnie jakie mam wykształcenie, powiedziałem mu, że wyższe i wziął mnie to tej pracy w bibliotece. Biblioteka była dość obszerna, nie powiem, że bogata w treść, wszystkie książki były cenzurowane. Moc było autorów rosyjskich, ale byli też autorzy polscy. Np. Gołubiewa "Puszcza" to bardzo poczytne było, klasycy polscy Reymond, Sienkiewicz bez "Ogniem i mieczem" oczywiście, dużo tam tego było.

Znowu z tego "białego" pawilonu przerzucono nas do "czerwonego" i do tej biblioteki dostał się też Andrzej Dudo i pan Lucjan Ślaski i pracowało nas tam w tej bibliotece kilkunastu. To był inny świat. Tam jeszcze pracował dr Tadeusz Czaplak mój starszy kolega z uniwersytetu, pan Kubiak z Krakowa. Towarzystwo było bardzo dobrane, inteligentne. Te czasy zmieniły się w Rawiczu. Był pewien luz, ze względu na tych chuliganów, bo starali się ich jakoś zająć i zrobili im boisko na placu mogli pograć w siatkówkę, piłkę nożną. Zorganizowano orkestrę dentą. Parę tygodni ćwiczyli i kilka koncertów dali. Oni siedzieli na korytarzu w niedzielę, wszystkie cele były otwarte i grali koncert. My oczywiście nie mogliśmy wyjść z cel podczas tego koncertu. Ale to było przyjemne. Z inicjatywy takiego dekoratora z teatru muzycznego z Wilna powstała pracownia malarska. Ta pracownia była w takiej bramie, która łączyła jedno podwórko z drugim, był tam budynek gospodarczy i kuchnia, kwaszarnia ogórków i kapusty i oni zamurowali z dwóch stron i zrobili tam tę pracownię. Kupili sztalugi, płutno, blejtramy i znaleźli kilku takich chłopców, którzy mieli talenty malarskie.

Ponieważ my pracowaliśmy w bibliotece w innym pawilonie, to na obiady prowadzono nas właśnie do tej pracowni i mogliśmy się przyjąć tej pracy. Opowiadał mi ten dekorator, że proponowałtemu oddziałowemu co był od kultury i sztuki, żeby tematy podał. Ten oddziałowy kazał przynieść pocztówki jakieś z obrazami Chelmońskiego, czy Fałata. Przynieśli dwie pocztówki które miały największe wzięcie jest "Noc wenecka" takie nimfy płynęły w łodzi rozneglizowane, a drugi to "Jeleń na rykowisku" i to kupowali. Był taki z Poznania więzień, który siedział za napad na konwojenta na Rynku Jerzyckim. On miał talent malarski. On miał dwie sztalugi i dwa obrazy na raz malował. Słynnym w Rawiczu oddziałowym, a właściwie komendantem oddziału I był Pukawka. To był potężny mężczyzna, 1,80 cm wzrostu ze 150 kg wagi. Widziałem jak pakowali jednego więźnia do karcra i on się opierał strasznie i nie chciał iść. Ten karzec mieścił się pod stolarnią, w której przez cały dzień chodziła piła elektryczna i w tym karcru był ogromny hałas. Jak tego więźnia wypuszczali takiego ogłupiałego z tego karcra, to on rzucił się na tego Pukawkę, a ten go spowrotem do tego karcra wsadził. On był okrutny. O nim w radio Wolna Europa, czy BBS mówili.

Kiedyś wszedł Pukawka do pracowni i jak zobaczył jak ten Janicki maluje tego jelenia na rykowisku, zieleń taka intensywna, aż kłuło w oczy, ten jeleń brązowy z zadartym pyskiem to stanął przy nim i mówi: "Chłepie, alez ty masz talent. To naturo aż drgo tutaj". Był zachwycony.

W 1955 r. żona co miesiąc była u mnie na widzeniu. To było jej utrudzenie, bo musiała raz w miesiącu w niedzielę przyjechać do Rawicy, tam poczekać kilka godzin na widzenie ze mną. Tam nie było okienek jak we Wronkach, ale taka sala siatką odgradzona i tam wszyscy krzyczeli i tu nie można było nic zrozumieć.

Pod koniec 1955 r. tak zelżało, że dawali widzenie przy stoliku. To był obszerny pokój ze stolikami, wprowadzano 4 więźniów i siadało się normalnie przy stoliku można było kulturalnie porozmawiać i wydłużony czas był do 30 min.

Od 1955 r. odbywały się rozprawy rewizyjne. Natomiast z tych artykułów, które ja miałem i brat to niestety nie.

Jest późna jesień 1955 r. Zaczęto już tym więźniom stwarzać inne warunki. Do cel wstawiono łóżka piętrowe siedziało nas po czterech w celi. Ten mój kolega z lat dziecińczych Andrzej Dudo pracował jako sanitariusz w szpitalu i miał poduszkę z pierza i ja mu zazdrościłem tej poduszki. I on do mnie mówi, że on mi się postara. Tam jakieś kontakty między więźniami były, już jakieś rozluźnienie było i nawet oddziałowi na niektóre rzeczy przymykali oczy. Kiedyś wieczorem oddziałowy otworzył drzwi od celi a po drugiej stronie siedział Andrzej Dudo i on mi przez cały ten korytarz rzucił ten zagłówek z pierza. Pierwszej nocy jak położyłem głowę na tej poduszeczce z puchu, to tak jakbym się znalazł w raju. Takie miałem uczucie.

W bibliotece pracował taki Żyd dr Biegacz. Nie bardzo chciał mówić za co siedział, ale zdaje się że za współpracę z IRO. To jest agenda ONZ do spraw przesiedleńców. Mam wrażenie, że on ułatwiał polskim Żydom przerzut przez zieloną granicę do Niemiec. Bardzo inteligentny, rozmawiał na wszystkie tematy. Jeszcze jeden Żyd z nami pracował Gerszon Cukier, też za współpracę z IRO i on mi opowiadał cały mechanizm powstania państwa Izrael. Ja zostałem wybrany przez tego oddziałowego do spraw kulturalnych wybrany, żeby uporządkować bibliotekę oddziałowych. Ta biblioteka składała się z książek wycofanych cenzuralnie z biblioteki ogólnej. Były tam wspaniałe książki. To były książki napisane zaraz po wojnie pamiętniki spisane z AK, z armii Andersa itd. Ja te książki katalogowałem. 5 książek skatalogowałem a resztę czytałem.

W lutym 1956 r. wycofano nas z tej biblioteki i "czerwonego" pawilonu i przeniesiono nas znowu w podziemie do piwnicy pawilonu pierwszego. Zabrano nam ubrania więzienne, niestety straciłem swoją poduszkę puchową i dali nam znowu nasze ubrania cywilne i tam siedzieliśmy cały miesiąc. Po 8 osób nas tam wpakowano i tak siedzieliśmy. Tam zaprzyjaźniłem się z ks. Mikołajem Denko.

Ks. Mikołaj miał na sobie czarny sweter robiony ręcznie ze stójką kołnierzykiem tak jak księża mają. Ja kiedyś go zapytałem, czy on nie jest księdzem. On odpowiedział, że tak. Wtedy nie wiedziałem, że on jest księdzem grecko-katolickim. i zaprzyjaźniliśmy się. Dzieliłiśmy się wypiską i tak siedzieliśmy razem.

3 marca 1956 r. znowu zawieziono nas samochodami do wagonów, na bocznicę niedaleko więzienia, załadowano nas do tych wagonów i ta podróż koleją uszła mojej pamięci, ale po całej nocy jazdy znowu dotarliśmy do Wronek.

We wronkach nas wyładowano, spokojnie bez krzyków i uformowano kolumnę i zaprowadzono nas do więzienia. Wpakowano nas na skrzydło C na parterze we Wronkach. W tej kolumnie jak szliśmy zorientowałem się kogo wywożą i okazało się, że wszystkich politycznych. W tym transporcie widziałem pana płk Niepokulczycki, którego poznałem w szpitalu w Rawiczu jak roznosiłem książki. Zapytał się mnie czy znam rodzinę Borkowskich, ja mu powiedziałem, że ja jestem Borkowski, to zapytał o Stasię, a ja mu na to, że to moja kuzynka. On mi powiedział, że mnie pamięta jako takiego małego chłopczyka.

Szpital rawicki był dość duży. W tym szpitalu leżał pan Ślaski Lucjan, który miał wrzody żołądka i ja go tam odwiedzałem. Tam łóżko przy łóżku stało, a oddzielny oddział to był gruźliczy.

Wpakowano nas we Wronkach na kwarantannę. Tam nas wykapano i tam od razu spotkałem się z bratem. We Wronkach brat pracował w pralni. Dali nam ubrania więziennicze i na tej kwarantannie spaliśmy na betonie przez cały marzec. Na spacer nas wyprowadzano. Pewnego razu wychodząc na spacer po drugiej stronie szedł taki komandor marynarki wojennej, który był tzw. gazeciarem. Bo już można było prenumerować gazety tylko trzeba było je zdawać później. No i jak szliśmy na ten spacer to on przechodził, odchylił gazetę i tam pokazał nam portret Bieruta w czarnych ramkach.

W tej celi na kwarantannie siedzieliśmy w cztery osoby: ja, Zygmunt Balicki - jeden z pierwszych siedmiu założycieli Wiciw 1923 r. urodzony trubun ludowy. Miał skończone studia prawnicze na Uniwersytecie Katolickim Lubelskim, studia rolnicze na Uniwersytecie Krakowskim i wyższą szkołę nauk politycznych w Warszawie. Siedział za nielegalną organizację. Ta organizacja nazywała się Polska Partia Postępowa. Została zała założona przez UB. To była prowokacja.

Wychodząc na spacer, przede mną szedł pan Balicki, za mną taki góral Gąsienica-Kleryk za nim Lewandowski, który miał dożywocie za sprawę statku praca, który został zatrzymany przez Amerykanów a wywoził broń z Polski do Chin. Ten pan komandor jak odchylił i pokazał nam ten portret Bieruta w ramce to pan Balicki oszalał. Wyskoczył na środek korytarza i puścił się w jakiej prysyudy. Ci oddziałowi zlecieli z góry i chcieli go złapać, a ja im pokazałem na czole kółko i to go uratowało przed pójściem do karcra. On mówi: "Panie Zygmunco, największa radość jaka mogła mnie spotkać, tego grabaży Polski Niepodległej nareszcie diabli wzięli". To był też przełomowy okres w życiu więźniów.

Pod koniec kwietnia nastąpiła ta wielka amnestia i później zaczęły się te procesy rewizyjne.

Po miesiącu tej kwarantanny przeniesiono nas na skrzydło B na I piętrze. Tam już były podłogi i łóżka piętrowe, stół i już lepsze warunki. Któregoś dnia jakiś funkcjonariusz więzienny wchodzi od celi do celi i słyszymy jak pyta się: "Są ogrodnicy?". Ten pan Balicki mówi "Panie Zygmunco zgłaszamy się na ogrodników. I jak przyszedł do naszej celi to zgłosiliśmy się. Podaliśmy nasze nazwiska i on zapisał. Ale pan Lewandowski nie zgłosił się. Po paru dniach otwierają się drzwi celi i oddziałowy mówi: "Ogrodnicy wychodzić". Wyszliśmy z celi, wyprowadził nas na podwórko dał nam miotły i kazał zamiatać podwórko. Z chęcią wzięliśmy się do pracy. Obchodziliśmy wszystkie kąty. Pan Balicki krążył koło tych miejsc, gdzie były tzw. wieżyczki strażnicze i tam ci oddziałowi, którzy tam całą noc dyżurowali i palili papierosy, to pety wyrzucali na zewnątrz. I ponieważ on był nałogowym palaczem, a jeszcze nie mieliśmy wypisek, to wszyscy zbieraliśmy dla niego te pety. Unia not oliet. Pieńdz nie śmierdzi - tak zawsze mówił pan Balicki i palił te pety.

W wielki piątek z rana, wystawiliśmy kible i jak kible zostały wylane i przyniesione z powrotem to porządkowy stuknął w drzwi i powiedział "Borkowski zajrzyj do kibla". Zajrzałem, a tam paczka leży na dnie opakowana w papier, sznurkiem przewiązana. Odpakowaliśmy to, a tam dwie miseczki złożone ze sobą, jedna drugą przykrywała. Otwieram tę miszkę, a tam jest pełna miska sałatki z kartofli, ogórków, marchwi i to wszystko przyprawione jakimś olejem. Zapach tego oleju i tej cebuli, bo cebula tam była odurzył nas wszystkich. To coś innego było. Okazyje się że to mój brat mi przysłał tę sałatkę. On poprosił moją żonę, żeby ona w celach leczniczych przysyłała mu tran. On nie używał tego jako lekarstwa, tylko jako przyprawy. Siedząc w tej pralni miał kontakt z kuchnią i tam JAKOŚ z kucharzami się dogadał i dostał te produkty i zrobił nam tę sałatkę. Tę sałatkę to pożarliśmy wręcz.

W pierwszy dzień Wielkiej Nocy też uderzenie w drzwi "Borkowski zajrzyj do kibla". Znowu taka sama paczka a tam jest niby tort. Z razowego chleba przełożone marmoladą, z jasnego pokruszonego chleba też przełożone marmoladą i wszystko to oblane wodą z cukrem. Bardzo to było smaczne. Nas zabierano na to zamknięcie podwórkowe i tak żyjemy. Potem zaangażowano nas do urządzania klombów na zewnątrz jak się zrobiło ciepło. Między skrzydłem C a pawilonem szpitalnym kiedyś stał barak i go rozebrano, ale żeby tam było to pod ten barak podsypało się piaskiem (bo cały teren był wilgotny). Tam była wielka mulda piaskowa i tą muldę piaskową rozrzuciliśmy i tam zrobiliśmy wielki klomb. Jak to wszystko zaczęło kwitnąć, to znalazłem flance astrów. Te astry rozsadziłem we wszystkie rzędy. Pan Balicki był chory na gruźlicę.

Pan Balicki był bardzo aktywny. On nie mógł znieść bezczynności więzienniczej. I w Rawiczu poprosił władze więziennicze, żeby oni mu dali warunki techniczne, a on opracuje całą konstrukcję kombajnu dla indywidualnego

gospodarsatwa. Oni poszli na to i dali mu tablice kreślarskie, paru kreślarzy, paru konstruktorów i oni tam siedzieli. Ale uczciwie to tylko pan Balicki chciał opracować tę konstrukcję, a inni to siedzieli i zbijali boki i po pewnym czasie władze więzienne zlikwidowały tą pracownię, bo nie było widocznych efektów pracy. Ponieważ Balicki protestował i stawiał się im, więc jego zawołali do lekarza, lekarz stwierdził, że on ma gruźlicę i wpakowali go do sali otwartej gruźlicy. Potrzymali go tam trzy miesiące i on dostał gruźlicy. Po wyjściu z więzienia w parę lat później zmarł na gruźlicę.

I tak te rabatki obrabialiśmy. Pod koniec czerwca jak przy tych rabatkach pracowaliśmy, to wywołali pana Balickiego i już go więcej nie widzieliśmy. Zwolniono go po prostu do domu. Zostaliśmy we trzech. Ponieważ ten Lewandowski miał dożywocie, jego po jakimś czasie też zabrano. Zostaliśmy we dwóch z Franusiem Gąsiennią. Franuś miał padaczkę pourazową. On był w oddziale "Ognia" na Podkarpaciu. Kiedyś tam był na wypadzie i został otoczony przez oddziały UB czy KBW i nie było szansy żeby wycofać się i on w ostatniej chwili wyciągnął pistolet i palną sobie w łeb. Ale tak, że kula przeszła pod czaszką nie naruszając płatów mózgu. Jego ciężko rannego zabrano do więzienia w Zakopanem, wrzucili do piwnicy, lekarz przyszedł zbadał go i powiedział, że jak przez trzy dni przeżyje, to wyżyje, ale już nie będzie normalny. A ten ciągle tam dłuwał w tej ranie i odpryski kosteczek powychodziły z tą ropą. Zagoiła się ta rana, wyżył, ale miał niedowład lewerj ręki i nogi i padaczkę pourazową. On został przywieziony z więzienia z ławy.

Ci wyżsi funkcjonariusze więzienni prawdopodobnie polowali. Tam pewnie gdzieś kłusowali i odstrzelili matkę sarnę a koziołka przywieźli i puścili na ten plac więzienny. Z kuchni tam go podkarmiali i on szybko rósł. Najwięcej śmiechu było wtedy jak oddziałowy wypuszczał więźniów na spacer, stał tak rozkraczony ręce trzymał z tyłu, a ten koziołek rozpędził się i w pewną część ciała tego oddziałowego tryknął. Śmiech był ogromny. Dla nich to była kompromitacja i później jak nas wyprowadzali na spacer to najpierw tego koziołka odpędzali. Ci strażnicy to są ludzie prymitywni: wieczorem urządzali sobie takie zabawy: otwierali wszystkie bramy, spuszczały psy i te psy goniły tego koziołka. Ten koziołek tak szybko biegał, że od tyłu doganiał psy. Ale po jakimś czasie koziołek zginął, najprawdopodobniej któryś na pieczęć go wziął.

Pod koniec czerwca rano wypuścili nas do pracy, ale po kilku godzinach w trybie alarmowym wezwano nas do celi. Zauważyliśmy, że na tych wieżyczkach strażniczych pojawiły się karabiny maszynowe, wzmocnione zostały patrole. Co się działo. Dowiedzieliśmy się, że w Poznaniu rewolucja, że na ulicę wyszli robotnicy, że demolują dom partii i tam strzały itd. No ale po kilku dniach znowu wszystko wróciło do normy. O tych wydarzeniach poznańskich dowiedzieliśmy się z gazet.

Do naszej celi dołączył jeszcze jeden ogrodnik pan Mieczysław Preker. Nie wiem za co on siedział. On przed aresztowaniem współorganizował polowania dla wyższych urzędników państwowych. I poza tym niektórych urzędników uczył dobrych manier: jak należy jeść, jak należy siedzieć jak się odzywać, jak należy zachowywać się w towarzystwie itd. On był synem wysokiego szczebla sędziego przedwojennego. Mam wrażenie, że sądu najwyższego apelacyjnego. Mieli mająteczek pod Warszawą. Bardzo miły człowiek, miał duże kontakty wśród więźniów. Była cela jedna księży tam siedział ks. Roztworowski, ks. Rynko. Miciu załatwił mi kiedyś wiatek. Nie wiem jak on się tam dostał do tych księży, ale któregoś razu jak sprzątałem ten plac, to ktoś syknął na mnie z celi i wypadło przez okno pudełeczko zapalek. Ja podszedłem i podniosłem to pudełeczko, jeden z księży przeżegnał mnie a w pudełeczku był wiatek. Wiatek był w formie opłatka aptekarskiego. To było pierwsze moje w więzieniu przeżycie religijne. Po jakimś czasie zabrali Gąsiennice z celi i Prekera zabrali i zostałem sam jeden. To było pod koniec sierpnia, początek września. W pięknym rozkwicie były astry. Nie wolno było tych astrów ruszać nikomu. Jeżeli oddziałowy szedł do panny i chciał kwiaty to mnie prosił żebym ja je ścinał. Astry były piękne.

Nagrał: KRZYSZTOF GOZDOWSKI

Poznań 1993

Spisała: RENATA ANDRACKA

Opracowała: ALEKSANDRA KUBISIAK